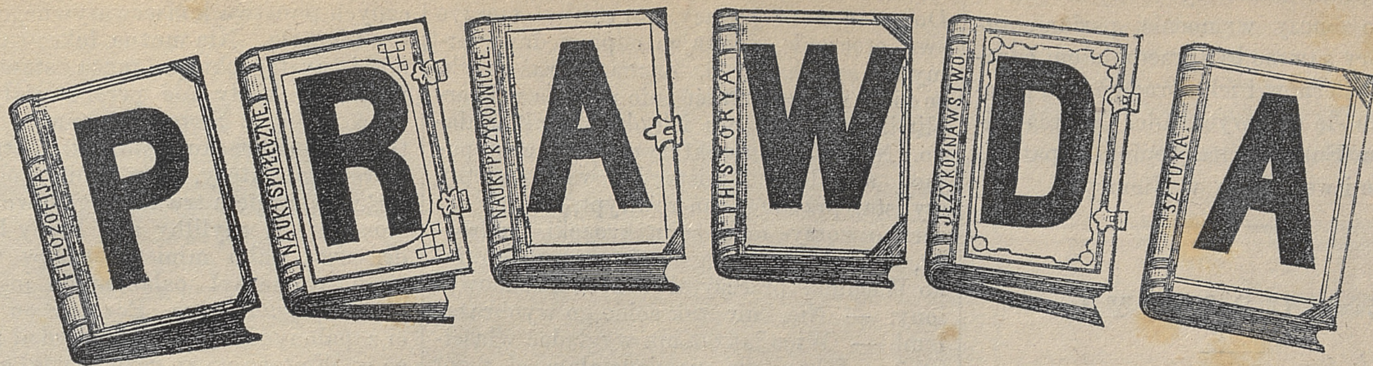
Nr. 11. Warszawa, dnia 15 (3) Marca 1890 r. **Rok X.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZAGADKOWE POŁOŻENIE.

Kto przed dziesięciu jeszcze laty spodziewał się się, że Olimp niemiecki przyjmie taką postać, w jakiej go obecnie widzimy? Kto przypuszczał, że pogromca Austryi i Francyi usunie się do zacisza domowego, że Fryderyk panować będzie tylko 99 dni, że syn jego Wilhelm, zapamiętały wielbiciel Bismarka wystąpi z nim do walki i podejmie uregulowanie sprawy robotniczej na drodze konferencyi międzynarodowej, że od bożyszcza Niemiec odwróci się nietylko monarcha, ale i naród? Zaiste, wobec tych dziwów odpada ochota do wróżb politycznych.

Tak jest, rezultatem ostatnich wyborów naród niemiecki oświadczył się przeciwko ubóstwianemu kanclerzowi bardzo wyraźnie. Bo policzmy jego przyjaciół a raczej służących i przeciwników w nowym sejmie: konserwatystów ma 90 (stracił 30), narodowo-liberałów 40 (stracił 60) — razem posłusznej czeladzi 130; natomiast postępowcy wzrośli mu do 70 (z 32), socyalno-demokraci do 35 (z 11), demokraci do 10 (nie było ani jednego), centrum 107 (z 101), polacy do 16 (z 13), welfowie 11 (z 4), inne drobne grupki pozostały niezmienione; za sobą więc ma 130 kilku posłów, przeciw sobie około 250. Wilhelm I taką Izbę, przeciwną jego ulubieńcowi, natychmiast by rozwiązał; Wilhelm II, który ciągle zapewnia, że „wstępuje w ślady dziadka,“ chce z nią rządzić.

Szczególne są te zapewnienia! Cesarz niemiecki nie omija żadnej do nich sposobności i ustawicznie powtarza, że jego „wzorem“ jest dziad, robi zaś tak, jakgdyby naśladował ojca, a co najmniej przeciwstawiał się dziadowi. Dość zważyć dwa jego czyny: rozbrat z Bismarkiem, któremu na prośbie o dymisyę Wilhelm I napisał „nigdy,“ a Fryderyk go nie znosił, oraz śmiałą i bardziej humanitarnym dążeniom Fryderyka, niż wstecznym Wilhelma I odpowiadającą inicyatywę w sprawie robotniczej. Gdy ten numer *Prawdy* dojdzie do rąk czytelników, już międzynarodowa konferencya rozpocznie nad tym przedmiotem swoje obrady w Berlinie. Musimy więc zaczekać z uwagami o jej wyniku do chwili, kiedy ona już się narodzi. Dziś zajmijmy się nieco zagadkową postacią władcy Niemiec. Może żaden inny ze współczesnych nie okazał się tak ruchliwym i tak wielomównym, jak Wilhelm, a jednakże dotąd trudno określić jego charakter i zasady. Sławiąc dziada, zdradza pewne podobieństwo do ojca; ogłosiwszy kanclerza za „chorążego,“ wypiera go ze stanowiska; stając po stronie robotników przeciw kapitalistom, jednocześnie bawi się szpicrutą Ludwika XIV. Na uczcie prowincyonalnego sejmu brandeburskiego przemówił bardzo obszernie o swoich dążeniach i zamiarach. „W podróżach moich— rzekł — nie miałem na celu jedynie poznania obcych krajów i urządzeń państwowych oraz zawiązania z panującymi krajów sąsiednich stosunków przyjacielskich, lecz podróże te, często źle rozumiane, miały dla mnie wielką wartość: odsunąwszy się od codziennej walki stronnictw, mogłem stosunki rodzime obserwować z oddali i rozważać je w spokoju. Niejednemu z moich rodaków życzę przeżyć takie chwile, w których człowiek zdaje sobie sprawę z tego, do czego dąży i co zdziałał. Wtedy można się wyleczyć z przeceniania siebie, a to nam wszystkim potrzebne.“ Zdawałoby się, że słowa te wskrzesiły cień marzycielskiego Fryderyka. Tymczasem Wilhelm II, jak gdyby się opamiętał, wywołuje z grobu dziada i oświadcza uroczyście: „Tych, którzy mi okażą pomoc (w rozwiązaniu kwestyi robotniczej), powitam sercem, kimkolwiek by oni byli. Tych zaś, którzy mi przeciwstawią się w tej pracy, *zdruzgoczę (zerschmettere)*.“ Jak gdyby świsnęła w powietrzu szpicruta Ludwika XIV.

Ostatni ten wyraz wywołał łatwe do pojęcia zdumienie, naprzód swą energią, a następnie zagadkowością. Kogo Wilhelm II myśli „druzgotać“? Jakąkolwiek jest konstytucya niemiecka, w każdym razie nie pozwala mu ona na takie pokonywanie przeciwników, o ile oni nie podnoszą buntu czynnego. Cóż więc owa groźba znaczy?

Nie będziemy gryźli tego twardego orzeszka, pozostawiając go zębom niemieckim. Nam bowiem chodzi tu tylko o wskazanie rysów sprzecznych w charakterze Wilhelma II, które sprawiają, że jest on w polityce czynnikiem zagadkowym, niedającym ściśle się obliczyć. Trudno o istoty bardziej sobie przeciwne, jak jego dziad i ojciec, a jednakże wygląda on jak mieszanina obu. Po dziadzie wziął zamiłowanie wojskowości i bigoteryę protestancką, po ojcu—marzycielstwo i humanitarne porywy.

Z pierwszą połową tej dwuistoty Bismark godził się chętnie, z drugą— nie. Jeżeli prawdą jest, co powiedział — o ile się nie mylimy Gladstone, czy któryś inny polityk angielski — że nie widział w życiu swojem człowieka tak zupełnie ogołoconego z wszelkich instynktów szlachetnych, jak kanclerz niemiecki, to musiał on naturalnie całą siłą oprzeć się objawom owej jasnej strony charakteru monarchy. Dla niego wszelkie takie sentymentalizmy, międzynarodowe konferencye, narady ze ślusarzami i kowalami, tolerowanie sejmu opozycyjnego, wsłuchiwanie się w głosy narodu — to są wszystko głupstwa i śmieszności, dopóki milion posłusznych żołnierzy stoi pod bronią. I możeby starcie między kanclerzem a cesarzem w tym wypadku zakończyło się bez dalszych następstw, gdyby pierwszy nie miał lat 75 a drugi 31, gdyby obaj nie uznawali potrzeby szukania dla starca spadkobiercy, a raczej spadkobierców władzy. Kwestya zaś czasu i osób nie jest tu jedyną trudnością. Bismark stwarzając konstytucyę niemiecką, przykroił swą godność dla siebie: on, jako kanclerz, był jedynym ministrem odpowiedzialnym, a więc panował nad wszystkimi. Tak szerokiego płaszcza niepodobna nikomu przekazać, chociażby Herbert jak najbardziej się wspinał i piersi rozdymał. Trzeba więc go pociąć. A więc

stworzyć kilka ministeryów odpowiedzialnych — to znaczy wzmocnić parlamentaryzm, który zawsze był przedmiotem odrazy Hohenzollernów i ich doradcy? Tu położenie wikła się nadzwyczajnie. Nic też dziwnego, że Europa z natężeniem wpatruje się obecnie i wsłuchuje w Niemcy.

Z AUSTRYI.

Otto Hausner i hr. Juliusz Andrassy. — Sprawy galicyjskie w parlamencie austryackim: dług indemnizacyjny i zakupno dóbr.

Równocześnie niemal Galicya i Węgry straciły wybitnych mężów stanu. Losy polityczne tych ludzi dziwnie się ze sobą sprzęgły: jeden z nich stworzył podstawy dzisiejszej polityki austryackiej, drugi stanął w skrajnej przeciw temu systemowi opozycyi, a obaj zasłynęli w tej samej chwili politycznej: podczas okupacyi Bośni. Zasadnicza ta sprzeczność wystąpi bardziej jeszcze, skoro porównamy indywidualność obu zmarłych.

Hausner—którego wizerunek *Prawda* już skreśliła—był człowiekiem głęboko ukształconym, gruntownym, celującym świetnością pióra i słowa. Zdawałoby się, że te właśnie warunki niezbędne są do wyniesienia męża stanu nad poziom. A jednak wielki jego przeciwnik, hr. Andrassy nie posiadał żadnej z tych zalet. Wykształcenie jego, dorywczo zdobyte, było nader skromnem; nie zaglądał do książek, pisał z trudnością i słabo, a mówił gorzej jeszcze. Podczas gdy demokratyczny, światły Hausner miał w sobie coś, co przypomina Peryklesa, Andrassego nazwalibyśmy Alcybiadesem nowożytnej Austryi. Był to człowiek o indywidualności ujmującej, a tak wyrazistej, że obraz jego utkwić musiał w pamięci każdego, co go raz tylko widział. Polityczną jego zdolność określić można dwiema głównie cechami: był niewyczerpanym w pomysłach, lecz nie dowierzając im, rozważał każdy tak długo, aż zatracił się zupełnie pierwiastek intuicyjny a jedynie pozostał tylko zimny rozum. Uważał on za nieszczęście Austryi, że kierownicy jej zwykli byli z biurokratyczną punktualnością załatwiać numery, zamiast spraw. Sam żądał zawsze, aby mu pozwolono rozważać kwestyę dopóty, dopóki żadnych niemiał wątpliwości. Dokonawszy tej pracy, zwykł był męczyć swe otoczenie, szukając odpowiedniej formy dla swych myśli. Zaznaczał zaś je tak, że nikt ich zrozumieć nie mógł, a niecierpliwił się, skoro mu ich określić nie umiano. Najlepiej charakteryzuje go następująca anegdota. Minister Horwath, świetny stylista, przyniósł mu reskrypt, którym cesarz otworzyć miał sejm kroacki. Andrassy, który tego samego dnia wyjechać miał do Wiednia, przeczytał i rzekł niezadowolony: — Nie, nie tak sobie go wyobrażałem! — Więc jakżeż ma wyglądać właściwie? — Jakto, nie powiedziałem ci tego? — Ani słowa! — A jednak potrzeba mi niezbędnie tego reskryptu.—Czy mam go uczynić energiczniejszym? — Nie, nie o to mi idzie... — Cieplejszym? — Ależ! — Grzeczniejszym? — Ależ o tem mowy niema! — Więc jakim? — Napisz nowy; usiądź tu przy biurku i pisz.

Andrassy żądał, aby otoczenie go odgadywało; zdawało mu się, że wszyscy ci, z którymi się styka, posiadają też same dary umysłowe, co on, i popadał w zdziwienie naiwne, ile razy się przekonywał, że jest inaczej. Jest to niewątpliwie znamieniem prawdziwych zdolności; wrodzone, mało ukształcone te zdolności były też głównemi sprężynami w dziwnej, romantycznej niemal karyerze Andrassego. Zaniedbywał on się w szkołach, bardziej aniżeli towarzysze jego arystokratyczni; lecz kiedy nadszedł rok 1848, Andrassy, liczący wówczas lat 24, już wybitne zajął stanowisko. Zrazu służył w szeregach armii węgierskiej. W maju 1849 r., wysłany przez Kossuta, wyjechał do Kostantynopola jako ambasador węgierski. Niewiele wskórał młody dyplomata, a po znanych wypadkach historycznych, wygnany z Austro-Węgier, przeniósł się do Paryża, gdzie z ks. Michałem Obrenowiczem nawiązał stosunek przyjazny. Mimo gorącego patryotyzmu, sympatyzował ze słowianami węgierskimi a niemniej z serbami. Kiedy w r. 1859 Obrenowicze objęli rządy serbskie a Andrassy w r. 1867 stanął na czele Węgier, zamierzali przyjaciele działać zgodnie we wszystkiem. Atoli Andrassy, zostawszy kierownikiem polityki austryackiej, poświęcać zaczął wszystko programowi podniesienia potęgi Austro-Węgier. Trudno zgodzić się ze środkami, jakich użył do osiągnięcia swych celów; atoli zaprzeczyć nie można, że dokonał on politycznego dzieła wielkiej miary. Już samo złamanie tradycyi politycznych państwa konserwatywnego jest sztuką niemałą. Nie można lekceważyć zdolności austryackiego męża stanu, który w chwili, kiedy nie przebrzmiały jeszcze echa wojny z Niemcami, umiał stworzyć traktat austryacko-niemiecki, patryoty węgierskiego, który, sam pobity pod Vilagos, z Petersburgiem trwałe, ugodowe nawiązał stosunki. A myliłby się, ktoby kroki Andrassego, jako ministra spraw zewnętrznych, tłomaczył osłabieniem jego patryotyzmu węgierskiego. Pozostał on do śmierci zapalonym węgrem. Twierdził poważnie, że w Waitzen nowy rozpoczynał się klimat, że woda rzek węgierskich lepszą jest od górskiej; oczy jego błyszczały, kiedy opisywał okolicę węgierską, a rasę madziarską uważał za najzdolniejszą w świecie.

W parlamencie austryackim Galicya dwa razy stanęła na porządku dziennym w ciągu dwóch tygodni. Naprzód wniósł rząd projekt w sprawie długu indemnizacyjnego; projekt ten, który niemcy witają oburzeniem, na razie oddany został podkomisyi. Ożywione spory natomiast rozwinęły się w sprawie prowincyi galicyjskiej a raczej zakupna dóbr w Galicyi. Rząd wniósł, by na 2,042,000 zł., jakie otrzymano tytułem wynagrodzenia za propinacyę w jego dobrach, nabyto dobra w Galicyi; w komisyi budżetowej większość przyjęła ten wniosek, mniejszość zaś niemiecka żądała, aby rząd uprawniony był za pieniądze te kupić dobra gdziekolwiekbądź. W parlamencie Kronawetter przemawiał przeciw projektowi, jako przepełniającemu miarę gratyfikacyi przyznanych uprawnionym do propinacyi. Podniósł on z naciskiem, że propinatorowie w sejmie galicyjskim przyznali się otwarcie do tego, iż normy podatku dochodowego, które służyły za podstawę do oszacowania wartości propinacyi, są fałszywe, a rząd, zamiast wyznaczyć za to karę, godzi się, by odszkodowanie propinacyjne obliczano według prawdziwego dochodu a nie według norm podatkowych. Podczas więc gdy z jednej strony Galicya zaciągać musi pożyczkę głodową, to z drugiej strony propinatorowie z funduszów krajowych otrzymują ogromne dodatki. Postępowanie to uwieńczyć obecnie zamyślają ci panowie, skłaniając rząd do zakupienia u nich dóbr, jakie mają na zbyciu.

Z mówców, którzy polemizowali z Kronawetterem, wzbudził uwagę głównie dr. Rutowski. Wykazał on, że sama uchwała

---

2)

PODSŁUCHANE.

Panna Marya podniosła głowę, spuściła wachlarz i spojrzała na pana Aleksandra dużemi, szeroko otwartemi, wilgotnemi oczami, pełnemi promiennego blasku. Wargi jej drżały lekko. Zdawało mi się, że chce szepnąć w tej chwili: „Jestem kobietą! Umiem płakać!"

Tęsknota za papierosem owładnęła mną nadmiernie.

Opuściłem kącik przy oknie. Minąwszy przedpokój, skierowałem kroki ku gabinetowi, w którym — przy dwóch stolikach — dziesięciu mężczyzn wintowało zawzięcie.

Prawą ścianę gabinetu zajmowała wielka nisza, zasunięta więcej, niż do połowy, ciężką, perską kotarą. Nikogo tam nie było. Ucieszony tem, wszedłem do środka, postanowiwszy, do kolacyi przynajmniej, nie opuszczać rozkosznego ustronia. Zasiadłszy wygodnie na perskiej otomanie, skryty za kotarą, oddałem się — papierosom, których akurat okrągłą godzinę nie miałem w ustach.

Nie zdołałem jeszcze wypalić drugiego, kiedy usłyszałem kroki dwóch mężczyzn, wchodzących do gabinetu, a następnie — każdy wyraz rozmowy, prowadzonej szybko lecz wyraźnie.

— Nareszcie cię przydybałem — zawołał pierwszy.

Po głosie poznałem, że był nim Ludwik, przyjaciel Aleksandra.

— Tak zawzięcie gadałeś z Marynią! Cóż, może nabierałeś facetek na miłość?

— Dajno lepiej papierosa.

— Masz, leży ich tu gromada.

Musieli usiąść na dębowych zydlach, stojących tuż przy przepierzeniu kotary, gdyż jeszcze lepiej dochodziły mię słowa każdego z nich.

Chrząknąłem kilka razy, aby dać poznać swoją obecność. Nie wiem, czy słyszeli mię czy nie — dość, że w dalszym ciągu mówili półgłosem, lecz dobitnie.

— Co słychać w Pitrze? — pytał Ludwik.

— Nic, to samo co i rok temu.

— Dostałeś się podobno do Rygi?

— Jadę tam najpóźniej za dwa tygodnie.

— Słyszałem, że zabierasz z sobą paru kolegów na pomocników swoich?

— Dwóch ich jedzie. Niech szukają szczęścia nad Bałtykiem.

— Wiesz Olek, gdybyś ty tam i dla mnie coś wytrzasnął! Tu ani myśleć, żebym się kiedy czego porządnego dochrapał...

— Przedewszystkiem nie mów mi „Olku," jeżeli nie chcesz, abym wpadł w zły humor.

Ładne, dobre i miłe stworzenie, słodkie stworzenie — takiej, jak ona, drugiej nie znajdę, choćbym świat cały przewędrował— nazwała mię „Lolo"; uważasz „Lolo," z akcentem na drugiej zgłosce. To brzmi ładnie, prawda? Trochę z chińska; w każdym razie niezwyczajnie. Teraz — nie chcę, aby na mnie wołano inaczej. Słodka boska, wspaniała niewiasta!

Chrząknąłem w tym punkcie, ale to znowu nie przerwało dalszego biegu prowadzonej rozmowy.

— Stara? — zapytał Ludwik.

— Może o trzy lata starsza od Maryi Z., z którą przed chwilą rozmawiałem: trochę nawet do niej podobna; tylko — ta będzie sentymentalną i rozmarzoną, a moja Olga to ogień, życie, samo życie! Ani razu nie widziałem jej płaczącej. Poczekaj, przeczytam ci list, który od niej wczoraj dostałem: poznasz ją z niego najlepiej. Była zupełnie niewinną, gdyśmy się poznali: masz, czy znajdziesz tu choć cień wymówki? choć jedną łzę rozmazaną na atramencie?

— Czemuż się z nią nie żenisz?

— Ba, myślisz, że mi to nie przechodziło przez głowę. Chiński mur nas dzieli. Szkoda dziewczyny! Ten, co ją weźmie, może być pewien, że nie pozna spazmów do końca życia.

— Cóż ona robi? Skądżeś ją wytrzasnął?

— Siostra doktora; mieszka przy bracie; rodziców niema już oddawna; pracuje w re-

wykupu propinacyi była stanowczo postępem w rozwoju krajowych stosunków ekonomicznych, nie bonifikacyą dla szlachty obmyśloną. Nabycie dóbr w Galicyi, nie zaś w innym kraju, uważa Rutowski za obowiązek Austryi, która zmarnowała i roztrwoniła tyle majątków koronnych i duchownych w tym kraju. Z dóbr tych, obejmujących 5,753,000 morgów, już z początkiem tego stulecia połowa była zmarnowaną. Ile razy państwo potrzebowało większych zasiłków, dobra funduszowe sprzedawano masami za bezcen. Podobną była administracya i gospodarka majątków państwowych. Zniszczenie lasów niebawem fatalne wydało skutki. Klimat się zmienił, a ogołocone góry, niezatrzymujące dziś wód, sprawiają powodzie. Klęska, którą Galicya poniosła w tym roku, a którą oceniają na 100 milionów, w znacznej części jest wynikiem dawnej, nieracyonalnej gospodarki państwowej. Słusznem jest tedy żądanie Galicyi, aby państwo zakupiło dobra leśne tam, gdzie najwięcej ich wyniszczono.

Rutowski, aczkolwiek trafnie wyświecił sprawę ze stanowiska Galicyi, nie zdołał jednak pozyskać Izby dla projektu rządowego. Udało się to dopiero ministrowi rolnictwa, Falkenhaynowi, który odpowiadając ściślej na zarzuty Kronawettera, zaznaczył, że projekt ten wyszedł z jego własnej inicyatywy i że w Galicyi nie domagano się tego podczas ugody propinacyjnej; nadto zapewnił Kronawettera, że latem sam oszacował dobra, które nabyć zamyśla, i że śród nich niema ani jednej majętności szlacheckiej.

Po przemowach krótszych Grossa, Pinińskiego, Abrahamowicza i Kronawettera, przyjęto projekt rządowy większością 121 głosów przeciw 100.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Opozycya w sejmie węgierskim zmordowała wreszcie skandalami Tiszę, który ustąpił. Przyczyny tego ustąpienia leżały w ciągłych napaściach na niego partyi dążącej do niepodległości Węgier i przeciwnej obecnemu ich związkowi z Austryą, ostatecznym jednak powodem był... Kossuth. Ponieważ upływa dziesięć lat od jego wysiedlenia się z kraju, co mu grozi utratą poddaństwa, więc opozycya, chwytająca skwapliwie każdą sposobność podważenia Tiszy, zażądała od niego, ażeby wbrew ustawie Kossuthowi obywatelstwo zachował. Zaskoczony minister na razie odparł cios argumentem, że skoro słynny patryota posiada to obywatelstwo w kilku miastach węgierskich, więc poddanym być nie przestaje. Jednocześnie wszakże przyrzekł opracować i przedstawić sejmowi stosowną ustawę. Przyrzekł — nie porozumiawszy się uprzednio z innymi ministrami, którzy na ten projekt nie zgodzili się. Związany zwłaszcza słowem, a raczej znużony i zniechęcony ciągłemi napaściami, podał się do dymisyi. Ile razy jakaś wysoka osobistość usunie się z rządu, zawsze gazety wróżą głęboki przewrot w stosunkach wewnętrznych i... zewnętrznych. Czy i tym razem spodziewać go się można? Wątpimy. Tisza był bardzo ważnym organem w życiu Węgier, ale nie niósł ich na swych barkach, jak Atlas. Daleko większe obawy wzbudzałaby możliwość przyjścia do władzy jego przeciwników, gdyby oni już byli blizkimi celu i gdyby te gorące słowa, które się rozpalają do czerwoności w ustach opozycyi, nie chłodły znacznie pod zimnym powiewem atmosfery rządowej. Inaczej się mówi w walce z ministrami, a inaczej się robi, zajmowszy ich stanowiska. Nieprzyjaciele Tiszy żądają samoistności Węgier; można napewno wierzyć, że umiarkowaliby się natychmiast po objęciu władzy.

Również wbrew przepowiedniom ministeryum Tirarda po ustąpieniu Constansa utrzymało się. Izba nawet dała dowód rzadkiej u francuzów jednomyślności, wyraziwszy prawie całym swym składem rządowi zaufanie w polityce zagranicznej, którą chcieli podać w podejrzenie bulanżyści.

Poważne wrzenie odbywa się obecnie w wiedeńskiej Radzie państwa: ultramontanie domagają się wydania im na łup szkoły i od tego czynią zależnem swoje poparcie galicyan w sprawie indemnizacyi. Prawica tedy się rozpada, niemcy z lewicy nęcą w swe objęcia polaków, którzy, nauczeni doświadczeniem, bronią się od tego uścisku. Z drugiej jednakże strony Koło polskie pomimo wszystkich swych słabości dla klerykalizmu czuje, że on wymaga od niego ofiary zbyt wielkiej; więc stoi na miejscu, pchane w dwu przeciwnych kierunkach, nie mogąc zdecydować się na żaden i nie mając siły wywarcia głębszego wpływu na bieg wypadków.

Pogłoska o zamiarze bułgarów ogłoszenia niepodległości kraju, jeżeli Porta nie uzna księcia Ferdynanda, nie przestaje obiegać prasy europejskiej.

W Serbii wybuchło małe przesilenie rządowe, które wkrótce zażegnano.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

EPILOG „SPRAWY WADOWICKIEJ."

II.

Posłuchajmy zeznań t. z. „świadków amerykańskich," to jest, bezpośrednich ofiar wyzysku bezczelnego „przedsiębiorców" oświęcimskich. Są to ludzie, którzy, po przebyciu przełazu Herzowsko-Klausnerowskiego ukrytego w cieniu skrzydeł opiekuńczych c. k. ptaka dwugłowego, dostali się za ocean i tam w roli współzawodników z drogim najemnikiem miejscowym, sprzedawszy za bezcen swą siłę roboczą, popowracali później do gniazd rodzinnych, żeby znów lwią część w pocie czoła zarobionych pieniędzy złożyć na ołtarzu ojczyzny—militaryzmu austryackiego... *). Pochodzą oni z różnych stron kraju: są to górale z Tatr, huculi rusińscy z okolic Muszyny i Grybowa, słowacy z Szent-Miklos i Liptawy, mazurzy od Tarnowa i Tuchowa, wreszcie żydzi małomiasteczkowi. Wielu z nich, jako świadkowie z zapisaną w pamięci niesprawiedliwością, której padli pastwą, wezwani przed kratki trybunału, roztoczyli obrazy łzawej niedoli. Świadek, Tomasz Dudek z Wesołej, wychodźca, wybrał się do Ameryki w r. 1887. Wziął z sobą gotówki na podróż 200 złr. Już w wagonie poczęto go i towarzyszy, jak

*) Według ich zeznań, wychodźca galicyjski, „jeśli znajdzie korzystną robotę, przytem jest zdrów, silny, wytrwały itd.", zarobić może w Ameryce przeciętnie $1\frac{1}{2}$ dolara dziennie czyli 3 rs., z tego wydać musi 1 dolara na życie, a $\frac{1}{2}$ zaoszczędzi dziennie dla żony i dzieci. Zarobek taki postawiony na gruncie galicyjskim musiałby być otrzymanym mniej więcej w ciągu *dziesięciu* dni; jeśli wiec użyłem wyrażenia „za bezcen," miałem na myśli płacę tubylca yanke amerykańskiego, której poziom jest wyższy, jako określony wyższymi kosztami reprodukcyi miejscowej siły roboczej. Ta ostatnia ma wroga zarówno w tanim wyrobniku-polaku jak i chińczyku. *Przyp. autora.*

---

dakcyi jednego z najbardziej rozpowszechnionych pism codziennych, którego korektę prowadzi. Poznałem ją przypadkiem. Kamiński mnie jej przedstawił.

Nastąpiła chwila pauzy, podczas której usłyszałem za portyerą szelest wyjmowanego z pugilaresu i rozkładanego papieru. Chrząknąłem znowu, co jednak po raz trzeci przeszło niepostrzeżenie. Oszukawszy sumienie, siedziałem dalej spokojnie, rad, że mnie nie ruszają z miejsca.

— Drogi Lolo! — czytał Aleksander.

— Lolo, Lolo! — powtórzył kilka razy. Jak ona to zawsze filuternie wymawiała!

— Drogi Lolo! Po twoim wyjeździe zabrałam się do pracy, która mi musi osłodzić rozstanie nasze. Sprowadziłam sobie masę książek. Czytam wieczorami, wracając z redakcyi, jakkolwiek wzrok mój, zmęczony całodzienną korektą, odmawia mi nieraz posłuszeństwa. Twoi koledzy, Kamiński i Florkiewicz, chcą mię gwałtem pocieszać. Czekają na mnie codzień wieczorem w bramie redakcyi. Bardzo ich lubię; wesoło mi z nimi, ale nigdy dłużej nie daję im dotrzymywać sobie towarzystwa nad czas, którego wymaga przejście z Newskiego na Fontankę. Wstąpiłam z nimi kiedyś do cukierni, na buterznyt i kieliszek koniaku, ale to tylko raz jeden. Zresztą kończy się na urywanej rozmowie wśród gwaru ulicznego.

Skala mego humoru obniżyła się cokolwiek. Niestety, to, cobym gorąco pragnęła ukryć przed światem i rodziną, staje się coraz bardziej widoczne. Co z sobą pocznę— jeszcze nie wiem na pewno. W każdym jednak razie bądź o mnie zupełnie spokojny. Życie moje, pełne wspomnień o tobie, zanadto mi jest miłe, abym śmiała naśladować Werthera. Że nie zwaryuję, jak Małgorzata, również jestem pewna. Patrzę z ufnością w przyszłość, wdzięczna przeszłości za chwile upojenia, jakich dzięki tobie doznałam. Pisz, o ile czas, dobre chęci i wspomnienie wiernej Olgi do pióra cię będą skłaniały. Listy twoje są dla mnie obecnie najmilszą rozrywką; wierz jednak, że nie wpadnę w ponurą rozpacz, gdy mi je przestaniesz przysyłać. Żądam tak mało od życia, a miłość naszą pamiętać będę długo! Stanem moim nie kłopocz się bynajmniej, jeszcze raz cię o to proszę. Za kilka tygodni doniosę ci coś stanowczego o sobie. Zdaje mi się, że to, co wczoraj sama obmyśliłam, będzie najlepsze. Twoja Olga kocha cię dotąd. Kochaj i ty ją, o ile nie spotkasz na drodze swego życia lepszej, ładniejszej i milszej ode mnie.

Adres mój, w ciągu dwóch ostatnich tygodni, ten sam jeszcze, co i dawniej. Potem — zmienię go chwilowo, o czem nie omieszkam ciebie zawiadomić.

Bywaj mi zdrów, drogi Lolo! Powtarzam myślą i głośno twe imię po wiele razy, tak, jak lubiłeś, abym je wymawiała: z akcentem na drugiej zgłosce.

Czy w kraju — wszyscy twoi — nazywają cię tak samo?"

Głos czytającego ucichł. Słyszałem znowu szelest składanego i chowanego prawdopodobnie do pugilaresu papieru.

— Zuch dziewczyna! — prawda? — zawołał Aleksander.

— Takich więcej — a życie przestałoby być beczką Danaid dla łez niewieścich — odpowiedział Ludwik.

W salonie odezwały się dźwięki fortepianu.

Marynia zaczęła akompaniament do piosnki Boglera, którą miała zaśpiewać na ogólne żądanie.

Panowie Aleksander i Ludwik wyszli z gabinetu.

Przed samą kolacyą, udając się na miejsce, wskazane mi przez gospodarstwo, przeszedłem obok panny Maryi.

Ludwik i Aleksander rozmawiali z nią.

— Ślicznie pani śpiewała!

— Łzy drżały w jej głosie — rzekł pierwszy.

— Jesteś pani prawdziwą kobietą—szepnął drugi, nachylając się nieznacznie do prawego uszka.

Cecylia Walewska.

powiada, „obrabiać“ z pieniędzy. Do Oświęcimia przywiózł ich jakiś agent, który go następnie zaprowadził do kancelaryi, znajdującej się w jakimś hotelu niedaleko od dworca kolejowego. Nad nią był wymalowany na blasze duży orzeł, znak „cesarskiej godności.“ Agent tłomaczył, że to jest kancelarya przez samego cesarza ustanowiona dla pomocy biednym ludziom, jadącym do Ameryki. Tam zapłacił za kartę okrętową i bilet do Hamburga, ale, jak potem się obejrzał, oszukano go o 16 zlr. Miał zamiar kupić kartę na Bremę, ale w kancelaryi Herza zniewolono go nabyć kartę na Hamburg. Przyszedł tam za wychodźcami urzędnik finansowy w mundurze i groził im odebraniem pieniędzy a ich samych odstawieniem pod konwojem żandarmskim do domu, jeśli nie kupią karty. Wtedy Dudek zmiarkował, że musi kupić „szifskartę“ u Herza.

Filip Pikul był trzy razy w Ameryce. Za pierwszym razem złożył w Oświęcimiu zadatek 20 zlr, na kartę, ale mu tego nie przyznano w Hamburgu. Drugi raz w r. 1884 jeździł do Ameryki i przywiózł ze sobą 500 zlr. Trzeci raz odwoził pasierba w roku 1887. Tym razem spostrzegł, że kancelarya „porasta w pierze.“ Znalazł tam już baryerę, za którą siedziało kilku „urzędników,“ czego przedtem nie było. Dawniej byli grzeczni, a teraz traktowali go ostro i z góry, zwłaszcza gdy usiłował się targować o cenę kart. Żadnych zeznań przeciw podsądnym Pikul nie porobił a uczynione w czasie śledztwa (co do pogróżek sądem, żandarmami i aresztem, czem miano go straszyć w kancelaryi) — odwołał.

Za to inny świadek, Józef Łapa, rzucił kilka promieni na matactwa agencyi. „Przyprowadzili mnie do kancelaryi — powiada. Miałem na wierzchu banknotami 42 reńskie. Te pieniądze oddałem wszystkie, ale powiedzieli mi, że tego mało. „A no, kiedy tak — pedają — to odeślemy cię ciupasem, a pieniądze tu zostaną. Wtem zbliżył się do mnie jakiś młody i zaczął mię macać i rewidować. Kiedy wodził ręką po piersiach, zaszeleściło mu coś pod nią, pytamię: „A co tam macie?“ Ja się zląkł i mówię, że mam zaszytą „pięćdziesiątkę“ na „złą godzinę.“ „O, to wam niepotrzebne. Jak kupicie kartę, to wam wystarczy, więcej nic sobie nie będziecie potrzebowali kupować i zajedziecie o tem do Nowego-Jorku; wszystko już macie zapłacone.“ I „wzięni“ mi razem i tamte 42, i tę pięćdziesiątkę, razem 92 reńskie, tak że przy mnie „ostało wszyćkiego ino 2 grajcary.“ Odesłali nas wieczorem jeszcze do Wiednia, gdzie na nas w nocy dwóch panów, pewnie „braci“ tamtych oświęcimskich, czekało. Nocleg kosztował nas po 1 zlr., a żem już nie miał nic pieniędzy, sprzedałem, „oberrok.“ „Jakżeż mogliście się zgodzić na jazdę nie mając nic pieniędzy przy sobie?“ — pyta przewodniczący. „Kiedy nam mówili, że już do samej Ameryki nic nie wydamy, zresztą ja się gwałtem upierałem w Oświęcimiu, żeby mi pieniądze oddali, mówiłem, że już nie chcę jechać, powiedziałem, że postępują z nami, jak z bydłem, ale oni oddać nie chcieli, a z gadania niewiele sobie robili. Pieniędzy nie oddali, więc musiałem jechać.“

Słowak, Józef Świątek, dostarczył swem zeznaniem świadectwa czynów żandarmów austryackich, niestety, nieosadzonych na ławie oskarżonych jedynie z tego być może względu, że wszelkie ich winy gładzi rola filarów, jaką odgrywają wobec istniejącego porządku rzeczy. Słowak ten w towarzystwie 8 wychodźców przyjechał w zimie r. 1887 do Oświęcimia. Już po drodze wsiadł do ich wagonu jakiś agent, który ich namawiał do zakupu kart w agencyi Herza. Świątek nie chciał tam iść, bo już uprzednio taniej kupił kartę w Hamburgu za pierwszej podróży powrotnej z Ameryki. Opór był daremny. Agenci z naganiaczami obrabiali ich na dworcu przez półtora godzin, strasząc żandarmami. Nareszcie oświadczenie agenta: „musicie wejść, bo ja na całe miasto „richter,“ zmusiło ich przestąpić próg kancelaryi Herza. Zaledwie Świątek wydobył pieniądze, a miał przy sobie 140 zlr., zjawił się w kancelaryi żandarm i zaaresztował wszystkich. Był już wieczór, gdy przypędzono ich do wójta w Brzezinkach. Kiedy wójt przenocować ich nie chciał, zaprowadzono nieszczęsnych do Oświęcimia, gdzie im *żandarmerya pieniądze odebrała i w areszcie gminnym osadziła.* Siedzieli tam trzy dni opuszczeni przez wszystkich, gdy zjedli ostatni kęs swojego chleba, domagali się żywności lub zwrotu pieniędzy, swej krwawicy. Pożyczył im ktoś z wielkim trudem parę szóstek. Gdy puszczono ich na wolność, nie mogli z niej korzystać, bo pieniądze im zagrabiono. Prosili o powtórne osadzenie w areszcie! Udawali się do Födricha, starostę w Białej, ale naprożno... Dopiero po długich korespondencyach dostali się do domu. A jednak świadek, pogorzawszy, dążył do Ameryki w nadziei, że, jak za pierwszym tam pobytem, znowu przywiezie ze sobą 700 zlr.

Stefanek Janosz również uczuł na swej skórze ciężką rękę „grüne Leute.“ Zeznaje on, że w drodze z Iwonicza do Oświęcimia kilkakrotnie rozmaici agenci wymuszali od niego w wagonie różne sumy. W Oświęcimiu zakupił kartę okrętową (zapewne w agencyi bremeńskiej, na którą mniej były łaskawe władze cesarsko-królewskie), lecz w tejże chwili żandarmerya go przyaresztowała. Targano go na wszystkie strony, wodzono od wójta do magistratu i odwrotnie, odebrano kartę okrętową wraz z pieniędzmi a jego samego odesłano do domu z marną kwotą 1 zlr. i 50 cent.

Tak postępowano z krnąbrniejszymi i dzielniejszymi, którzy kilkakrotnie już odbywali podróże zaoceanowe i stosunkowo najwięcej zarabiali na dalekim obcym lądzie. Cóż dopiero musiało dziać się ogłupionym i wdrożonym do pokornej uległości baranom w owczarni, zwanej Galicyą, przykrytej zamiast słomianej, strzechą troskliwości „ojców ojczyzny“ (czytaj — stańczyków), w której ani na chwilę nie milknie zgrzyt nożyc propinacyjno-fiskalnych wespół z lichwą?.. Nie mamy pod ręką faktów, tyczących się tego gatunku wychodźców krwi aryjskiej, ale możemy przytoczyć bardzo znamienne zeznanie Mojżesza Grünera z Wielopola. Jest to typowy żyd-chałaciarz galicyjski z małego miasteczka, obdarzony niepospolicie długimi pejsami. Na twarzy przestrach. Do Ameryki wybrał się w r. 1888 z kapitałem 80 zlr. Był pewny, że fundusz ten przy oszczędnem życiu wystarczy nietylko na opłacenie podróży, ale nawet na rozpoczęcie jakiego „interesu“ w Ameryce. W Oświęcimiu, mimo namowy agentów i naganiaczy, nie chciał kupić karty okrętowej w kancelaryi Herza, sądząc, że w Hamburgu wypadnie mu taniej. Jeszcze w Oświęcimiu zauważył, że jacyś żydkowie podpatrują go, dokąd bilety kupuje. A z natury był lękliwy, więc odtąd zaczął się bać czegoś. W wagonie mówił do towarzysza, Kunca, że go coś „stycha w serce.“ Przeczuwał, że w Mysłowicach spotkać ich ma jakieś nieszczęście. Ledwie pociąg stanął, Grüner zobaczył na stacyi żandarmów pruskich, więc zawołał: „Bój sze Boga, Kunc, bendże źle! Mnie migają i błaskają zanadto te złote kapelusze z tym szpicem.“ Żandarmi mi kazali obu żydkom wysiąść, a ci drżeli ze strachu tak, jak w ostatniej godzinie życia. „My, bidne żydki z małego miasteczka, pirszy raz widzieli pruskich dżandarów, ja ze strachu trzymałem Kunca, żeby nie upadł, a on mnie trzymał. Jak go tylko puściłem na chwilę z ręki, tak un zaraz plackiem na ziemię gruchnął przed dżandarem. Dżandary pitali sze nas, ci mamy sifskarty. My nie mieli, więc uni nas zatrzymali, odebrali nam bulet, co już kupiony był do samego Berlina i kazali kupić nowe bulety do Oświęcimia nazad, mówiąc, że nam tam powiedzą, co mamy robić. Kupiłem i pojechałem do domu. No, co ja miał robić?“ Okazuje się, że agenci Herza denuncyowali obu żydów przed policyą pruską.

Widać więc z tego, że wobec wyzysku, instytucyom na nim zbudowanym, nawet rękami *Herzów* i *Klausnerów*, równie przydatną bywa skóra aryjska, jak semicka — okrzyczana łączność rasowo-kulturowa pierzcha...

Co się tyczy procesu wadowickiego, to przebywa on w tej chwili ostatnią fazę „komedyi obrończej,“ wylewania sztucznych łez nad dolą Herzów, Klausnerów, Landerów, spadających rzęsiście na twarde serce p. Ogniewskiego i czułe sędziów z rozlużnionych gruczołów d-rów Rosenblatów, Łazarskich i Goldhamerów, fazę popisów retorycznych, stojących zwykle u obrońców w prostym stosunku z rozgłosem, a zatem powodzeniem materyalnem. Postępowanie dowodowe skończone, pozostaje czekać wyroku. Wynikiem rozprawy sądowej jest zmieniony akt oskarżenia w następujących punktach:

a) Cofa się oskarżenie przeciw Jakóbowi Klausnerowi co do zbrodni oszustwa popełnionego w czasie trudnienia się sprzedażą kart okrętowych w Brodach.

b) Oskarżenie przeciw Klausnerowi, Herzowi, Löwenbergowi innym ośmiu o zbrodnię dania pomocy zbrodniarzowi z § 220 ust. kar., jak równie uwiedzenia żołnierza do złamania wojskowej przysięgi służbowej, lecz tylko za czas przed miesiącem kwietniem 1887 r. — upada.

c) Cofa się oskarżenie przeciw Kupermanowi, Miklowi, Raberowi, Lauferowi, Winzerowi, Rudawskiemu, Herschlowitzowi, Bandowi, Kergerowi i Thiebergerowi o zbrodnię współwiny w oszustwie, lecz za to rozciąga przeciw pierwszym siedmiu o zbrodnię oszustwa, polegającego na przytrzymywaniu wychodźców, przemycaniu ich przez granicę, odprowadzaniu tychże do agentów i, co za tem idzie, korzystaniu z nieświadomości ofiar oszustwa, którym wyłudzali nienależne sumy, przenoszące 25 zlr.

d) Upada również zarzut współwiny w oszustwie, zrobiony dwunastu naganiaczom i konduktorom kolejowym.

e) Za to uzupełnione zostaje oskarżenie co do wszystkich obwinionych o zbrodnię gwałtu publicznego przez wymuszenie, które pociągało ze strony pokrzywdzonych świadczenia, przenoszące kwotę 300 zlr.

f) Oskarżenie co do kasyera kolejowego, Edwarda Zopota, jakoby sprzedając bilety osobowe i wymieniając pieniądze, dopuścił się zbrodni oszustwa, upada, jak również i oskarżenie o tę samą zbrodnię co do restauratora Neumanna.

g) Ograniczonem zostaje oskarżenie o zbrodnię (za czas po kwietniu 1887 r. jedynie) uwodzenia, pobudzania i wzywania wychodźców do wiarołomnego opuszczania służby wojskowej, a cofniętem co do ustępów, jakoby nakłaniali ich do innych, według ustaw karnych dla wojska moc mających, przekroczeń złamania wierności zaprzysiężonej, posłuszeństwa itp.

h) Cofniętem w końcu zostaje oskarżenie, jakoby Klausner i inni starali się także między innemi osobami, w akcie oskarżenia wymienionemi, również nadstrażnika skarbowego, Kosteckiego, uwieść do stronniczości i pogwałcenia obowiązków służbowych.

Pomimo jednak tych zmian ani jeden z oskarżonych nie został zupełnie zwolniony z winy. Sąd pomimo opozycyi prof. Rosenblatta przyjął wnioski prokuratora.

* * *

W ostatniej chwili dowiadujemy się o zapadłym w d. 10 b. m. wyroku. Brzmienie jego jest następujące: Löwenberg i Landerer skazani zostali na 4½ lata ciężkiego więzienia, Herz na 4, Klausner i Neuman na 3, Sadger, Barber i Schöner na 2, Iwanicki

i Wasserberg na 1½, Ehrlich i Einhorn na rok, Laufer na sześć miesięcy, Kostecki na trzy miesiące ciężkiego więzienia, naganiacze zaś na wieżę od czterech tygodni do trzech miesięcy. Prokurator ogłosił apelacyę z powodu „zbyt nizkiego wymiaru kary co do Klausnera, Herza, Löwenberga, Landerera i kilku naganiaczy.“ Dążność ta p. Ogniewskiego jest zgodną z postawionemi przez niego sędziom przysięgłym wnioskami. Odnośnie do Klausnera, Herza, Löwenberga i Landerera żądał on kary od 5—10 lat ciężkiego więzienia, tyleż dla Schönerera, Barbera, Sadgera, Ehrlicha, Einhorna i Waserberga, dla pięciu podrzędniejszych agentów od roku do lat pięciu, dla 13 naganiaczy od sześciu miesięcy do roku. Wysiłki łzawo-retoryczne pp. obrońców weszły mu w drogę. Proces więc skończony, operacya wrzodu galicyjskiego, na teraz przynajmniej — została pomyślnie dokonaną...

Z. Atanazy.

O WYSTAWIE PARYSKIEJ

ze stanowiska inżenieryi i przemysłu.

V.

Nie jest to przenośnią, lecz wyrazem rzeczywistości, że stulecie zaczynające się od 1850 roku nazywamy „wiekiem stali.“ Metalurgiczne wynalazki i odkrycia, które poprzedziły tę datę, spowodowały przewrót w przemyśle świata. Stal jest obecnie dla nas tem, czem było żelazo dla naszych dziadów i pradziadów, bronz dla wojowników obległających Troję, a kamień — dla pół nagich mieszkańców grot przedhistorycznej Europy. Cała osnowa najnowszej cywilizacyi sprzędziona jest ze stali. Ilość wyprodukowanej w 1882 r. była tak wielka, jak ilość żelaza wyprodukowanego w 1850 roku. Stal jest dzisiaj metalem wszędzie obecnym: zastępuje żelazo, drzewo, spiże i miedź. Szyny, okręty, działa i mechanizmy całego świata są obecnie z niej robione. „Najlepszem określeniem człowieka jest to, które twierdzi, że człowiek jest zwierzęciem używającem narzędzi; narzędzia jego są ze stali, a narzędzia zapomocą których wyrabia narzędzia, także są ze stali“ *).

Cudzysłów powyższy wyjmujemy z czasopisma amerykańskiego: czytelnik zresztą mógł sam zrobić wniosek o pochodzeniu autora, gdyż tylko amerykanin, pozbawiony przeszłości historycznej, literackiej, religijnej i etnograficznej, mógł zgodzić się na takie określenie człowieka.

Największe fabryki wyrobów żelaznych i stalowych nie ograniczają się obecnie *możnością wyrobienia* — technika pozwala im posuwać się coraz dalej; lecz *możnością przewożenia i użycia* sztuki metalu wyrobionej. Fabryka Schnejdera w Creuzot wyrabia blachy stalowe dla pancerników, ważące po 4,000 pudów. Szczegóły te zresztą nie były na wystawie ilustrowane okazami, gdyż nie budzą zajęcia w tej mierze.

Fabryka Coeckerilla z Seraing szukała jednak na wystawie chluby w okazie ważącym 650 pudów — w połączonych cylindrach do maszyny parowej o potrójnem rozprężaniu się pary, a z powodu złożoności form ten niewielki względnie odlew byłnie zmiernie ciekawy.

Odlewnia Lehmana w Paryżu odznaczyła się również, wystawiając skrzydła śruby okrętowej, z brązu odlane, ważące 310 pudów w jednej sztuce. Szruby takie i kotwice wymagają doskonałości wyrobu, z powodu znacznego oporu i bezpieczeństwa, jakie zapewniać winny.

Do powyższych okazów dodamy tylko wielki balon z żelaza kutego w postaci gruszki podwójnego wzrostu człowieka i prawie takiejże średnicy w grubym końcu. Balon ten, jako pływak i zbiornik gazu z oleju skalnego, służyć ma do sygnalizacyi na morzu.

Z tymi olbrzymami metalurgii współczesnej można było porównać pamiątki historyczne, umieszczone w dziale wystawy pracy człowieka, mianowicie trzy przedmioty wykute w 1730 r., w pierwszych francuskich zakładach, tak zwanej „Compagnie d'Anzin,“ dzisiejszych kopalniach tego nazwiska. Największy z nich waży nie więcej jak 30 do 40 pudów, a prawdopodobnie większych przedmiotów wówczas odkuć nie umiano. Bezkształtność i chropowatość wyrobu jest większa, niż można było przypuszczać, nie widząc tych pamiątek.

Obok wymienionych przedmiotów można było poznać usiłowania w innym kierunku, mianowicie zmniejszenia rozmiaru motorów do potrzeb rzemieślnika. Do rzędu liliputów przemysłu należą przedewszystkiem kotły parowe firmy Belleville'a, stanowiące jedną całość z maszynką. Są to więc lokomobilki stojące, trochę wyższe od człowieka średniego wzrostu, dwa kroki szerokie i tyleż długie. Lokomobilki te o sile 8 koni mogą być rozbierane i przenoszone na grzbiecie muła. Nie są to wszakże motory dla rzemieślników. Ściślej odpowiadają potrzebom rzemiosł maszynki gazowe nowej konstrukcyi, o sile $^1/_4$, a nawet $^1/_8$ konia parowego. Są one wyrobem firmy „Otto,“ istniejącej od 1876 r. i w wielkich miastach zagranicą znacznie się rozpowszechniły.

Okazem wyjątkowej *trwałości* wyrobu była na wystawie lokomotywa systemu Cramptona, zrobiona w fabryce Caila, która od 1849 r. pełni służbę na północnej drodze żelaznej francuskiej i napozór wygląda, jak gdyby świeżo z warsztatu wyszła. W ciągu 40 lat swojego życia przebiegła 1,101,425 kilometrów czyli 1,032,476 wiorst, to jest 28 razy odbyła drogę naokoło ziemi. W naszym kraju lokomotywy robią, na rok, najwyżej 50,000 wiorst i po 25 latach takiej służby najczęściej nie mają w sobie żadnej ważniejszej części składowej całej pierwotnego wyrobu.

Innego rodzaju trwałością poszczycić się może produkt starej (1784 r.) firmy młynarskiej Touaillon fils w Paryżu.

Na wszystkich wystawach wszechświatowych właściciel jej pełni obowiązek sędziego przysięgłego, więc okazy jego są po za obrębem współzawodnictwa. Wystawa 1878 roku przyniosła światu nowe sposoby mielenia (cylindry porcelanowe i inne) i w nich mieściła się jedna z nielicznych nowości, które jej zawdzięczamy. Obecna nic równego nie posiadała. Wysiłki specyalistów, zamiast do młynarstwa, skierowały się do mechanicznego piekarstwa, to jest gniecenia, dzielenia i pieczenia bułek i chleba. Piekarnie mechaniczne były na obecnej wystawie w znacznej ilości i zwracały powszechną uwagę. Piekarnie polowe w postaci wielkich, lecz łatwo przenośnych pudeł blaszanych bez dna, mają na celu umożliwienie pieczenia chleba na gołej ziemi, z użyciem tylko tego łatwo przenośnego sklepienia z blachy. Główne wszakże cele handlowe i wojenne, a mianowicie konserwowanie mąki, w celu transportowania do dalekich krajów, zamiast budowania tam młynów i możność chowania zapasów na wypadek wojny, te zadania były już dawniej w znacznym stopniu pomyślnie rozwiązane, między innemi, zapomocą przyrządu Touaillana, w którym mąka jest przesypywana z półki na półkę, a jednocześnie ogrzewana. Na wystawie obecnej można było również widzieć okazy mąki konserwowanej przy pomocy tego przyrządu (Etuvement des farines). Mąka zmielona w 1860 roku, opieczętowana w słoju, przykrytym tylko papierem, przedstawiona była sędziom wystawy londyńskiej 1862, którzy ją zbadali i ponownie zapieczętowali. Te pieczęcie zdjęli rzeczoznawcy wystawy 1867 r. w Paryżu i opieczętowali po sprobowaniu. W r. 1876 komisya Towarzystwa rolniczego francuskiego otworzyła słój i chleb upieczony z tej 16 letniej mąki okazał się wybornym. Wyższe gatunki mąki, dobrze zachowane, z biegiem czasu bieleją i tu zauważono podobne zjawisko. Czy wystawa obecna robiła doświadczenia z mąką Touaillona nie wiemy; przyrząd jego wszakże posiada, zdaje się, istotną wartość. System przyrządu znalazł bezwiednych naśladowców w Rosyi do suszenia ziarna.

Zaznaczając w szeregu powyższych wzmianek o wybitniejszych okazach wystawowych granice, do których doszła technika, pod względem wielkości, szybkości i trwałości wyrobu, mieliśmy do czynienia z procesami znanymi i niestanowiącymi dla specyalistów zagadki. Był jednak na wystawie okaz pompy, nad którym łamali sobie głowę nietylko praktycy, lecz również profesorowie. Powierzchownie niczem się nie różniła od zwykłych pomp rotacyjnych, o których już wspominałem, z powodu olbrzymów ustawianych w Khatatbeh przez firmę Farcota, w istocie wszakże była to nowość, wkraczająca w dziedzinę odkryć fizycznych. Zwykłe bowiem pompy rotacyjne, działające siłą odśrodkową, same nie wciągają w siebie wody, (nie nasmoktują się), nie ścieśniają gazów, ani wytwarzają próżni; podnoszą tylko (gdy są uprzednio nalane), wodę na wysokość 9 metrów, to jest około 28 stóp. Pompa, o której mówimy, system Nezeraux, wyrób firmy J. Casse et fils w Fives — Lille (Nord) różni się we wszystkich wymienionych szczegółach od dotychczasowych. Nasmoktuje wodę sama, przez co w zastosowaniu oddać może usługi znakomite, bo nie wymaga dozoru. Wytwarza próżnię i ścieśnia gazy, więc zastąpić może maszynę pneumatyczną. Nadto podnosi wodę, przy tej samej zużytej sile motoru, na wysokość prawie potrójną, to jest przeszło 25 metrów. Okazywane, obok samego przyrządu, rysunki tej pompy i dawane przez przedstawiciela objaśnienia nie były wystarczające, a może i umyślnie fałszywe. Grono zainteresowanych, w którem znalazło się dwóch profesorów z Medyolanu i Moskwy i niżej podpisany, napróżno usiłowało zdobyć objaśnienie wyczerpujące i musiało się wyrzec dalszych pytań, a natomiast zostawić swoje bilety wizytowe, zbierane przez wydawcę prawdopodobnie nie dla chluby, lecz jako dowód, żeśmy tę pompę oglądali, na wypadek gdyby ktoś z nas, w swoim kraju, wyrobił sobie przywilej wynalazku. O agenturę jego na wszystkie kraje zgłaszało się wiele osób, a reprezentant firmy z dumą objaśniał, że pompa ta jest unikatem i zaszczytem wystawy. Oczekujemy opisu i rysunków jej w czasopismach specyalnych lub *Przeglądzie technicznym* wystawy.

A. Pawłowski.

*) *Scientific American* (Supplement) nr. 466, z roku 1884. str. 7,445.

LISTY WIEDEŃSKIE.

8 marca.

Zwiększony Wiedeń.—„Kula śnieżna.“—„Nowa moda.“

Minister Dunajewski był przez dni parę najpopularniejszym w Wiedniu człowiekiem. Nawet *Neue freie Presse* wyrażała się o nim omal nie z entuzyazmem. Spełnił on długoletnie gorące życzenie wiedeńczyków: zniósł dotychczasową linię akcyzową, która odcinała stolicę od licznych, zamożnych przedmieść i objął wszystkie pasem rozległym, tworząc w ten sposób Wiedeń ogromny, sięgający od Leopoldsbergu aż do Szwechatu. Wobec ciągłych skarg na upadek Wiednia, jest to krok, którym minister finansów istotnie zobowiązał sobie do wdzięczności stolicę austryacką. Równocześnie z rozszerzeniem linij celnych, dokonaną będzie zmiana samej taryfy akcyzowej. Aby ocenić doniosłość obu tych reform, trzeba

wejrzeć w cyfry podatku konsumcyjnego. Otóż podczas gdy mieszkańcy Wiednia płacili przeciętnie po 13 złr. od głowy tego podatku, mieszkańcy t. zw. „Vorortów“ po 1 złr. 4 ct. Obecnie, zrównani z wiedeńczykami, płacić będą około 6 złr. od głowy, to znaczy artykuły spożywcze w Wiedniu stanieją o połowę. Na większe jeszcze uznanie zasługuje zmiana taryfy akcyzowej, uskuteczniona według zasady, że artykuły spożywcze niezbędne uwolnione są zupełnie od akcyzy, zbytkowe zaś obciążone opłatą znaczniejszą. I tak uwolniono od opłaty mąkę, chleb, zboże, płody strączkowe, ryż, paszę dla bydła, jarzyny, owoce, tłuszcze, ser, masło jaja, wosk, oleje, drzewo opałowe i węgiel, miód i tran. Tem samem sprawiono ogromną ulgę warstwom mniej zamożnym i zabezpieczono owym produktom na przyszłość odbyt znacznie większy. Reformę tę powitano i w Galicyi z wielką radością, spodziewając się, że z czasem zastosowaną też będzie do miast galicyjskich, dla których byłaby dobrodziejstwem. Przedmioty, od których pobieraną będzie opłata, wyszczególnione są w 12 rubrykach, podczas gdy dawna taryfa miała pozycyj 54.

Wiedeń odnosi korzyści ogromne, tracą zaś na razie przedmieszczanie. Atoli i oni niebawem skorzystają z rozkwitu miasta. Cały zwiększony Wiedeń bowiem obejmuje teraz kolej obwodowa (Gürtelbahn), której promienie sięgać będą aż do środka miasta. Mogąc przenieść się aż na kraj miasta w ciągu kwadransa, ludność zatrudniona w mieście rozleje się obecnie po dawnych przedmieściach, w których wzrosną wszelkie ceny. Spodziewają się powszechnie znacznego podźwignięcia ekonomicznego stolicy, a zbawienny krok Dunajewskiego zowią — ugodą z Wiedniem.

Drugim przedmiotem, który w ostatnich tygodniach zajmował wiedeńczyków i prasę wiedeńską, była agitacya klerykalna niezwykłej natury. Już od paru miesięcy naciągano Towarzystwo wiedeńskie na składki tajemniczej natury, urządzone pod hasłem „kuli śnieżnej!“ Składki te miały charakter podatku nałożonego na całą ludność. Rozdawano znajomym kartkę numerowaną, z prośbą uiszczenia 10 tylko centów, lecz z obowiązkiem zakomunikowania podobnych kartek dwu znajomym z tą samą prośbą. Póki mniemano, że idzie tu o cele filantropijne, chętnie popychano tę „kulę śnieżną.“ Lecz wreszcie dowiedziano się, że była to sztuczka kół klerykalnych, które zbierają fundusze na założenie wszechnicy katolickiej w Salzburgu a tym sposobem zmusić chcą do udziału koła inaczej myślące. Odkrycie to zatrzymało w biegu „kulę śnieżną,“ która urastać już zaczęła do rozmiarów lawiny.

Zaczęło tu wychodzić polskie wydanie wiedeńskiego tygodnika mód *Wiener Mode*, wydawnictwa pierwszorzędnego pod każdym względem.

Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

ETNOLOGIA.

Ks. Marcin Czermiński T. J., *Szkice cywilizacyi Afryki południowej*. Kraków, 1890.

Ks. Władysław Zaborski, *W północnej Ameryce. Alabaska Mackenci*. Kraków, 1890.

„Idąc na wszystek świat, opowiadajcie ewangelię“ — miał rzec Chrystus do apostołów. I oto od dziewiętnastu wieków spełniają to przykazanie słudzy jego, jedni pod skwarnem słońcem, niosąc ochłodę czarnym mieszkańcom równika, inni wśród mrozów północy, ogrzewając plemiona podbiegunowe. Działalność misyonarzów nie zawsze wydaje takie cudowne owoce; skostniały dogmatyzm i ślepa wiara wyciśnęły i na tych pomazańcach swe piętno. Lecz już samo odwrócenie się od zmurszałych tradycyj cywilizacyi kościelnej, skutkiem przebywania na łonie wspaniałej przyrody wśród ludów pierwotnych, musiało i na nich podziałać orzeźwiająco. Rozbijając swój namiot pod gołem niebem, odczuwają oni przedewszystkiem piękno przyrody, słuchając z lubością głosu matki, która przed nimi spowiada się ze swoich tajemnic.

Wystawcie sobie noce tak spokojne i ciche, że można słyszeć uderzenie własnego serca, tak zimne, że drzewa w lesie pękają, a oddech sprawia szelest, jak gdyby rózgą smagano powietrze. Tam spostrzegać się dają olśniewające alabastrowe kolumny, a obok nich matowej białości stalaktyty, jakby przetkane delikatnemi plecionkami z tkaniny podobnej do białych koronek.

W przestworzach powietrznych, wysoko ponad widnokręgiem, zorza północna raz przedstawia się jak korona ognista, to znowu rozpływa się w niezliczone świetlane pióropusze. Nie zniknął jeszcze ten obraz, a już wznoszą się wspaniałe łuki tęcz, wydłużają się, ścieśniają — i oto wytryska w środku jarzące światło nakształt wschodzącego słońca. Naraz promienie łączą się z sobą w krwawą czerwoną chmurę, rozsnuwa się ona powoli w biało świecące smugi, które jakby z perłowej masy na ciemnem tle lazuru rozpływają się w bladej nie do uchwycenia mgle świetlanej, w mieniący się welon niezmierzonych wyżyn przestworu. Czasem dochodzą cię dźwięki ludzkie, trzeszczenie nart po zamarzłej równinie; głosy te zdają się pochodzić z pobliża, a jednak mijają całe godziny, zanim zawitają podróżni.

Przeciwnie zaś wystrzał ze strzelby w pobliżu sprawia wrażenie, jak gdyby ktoś zgniótł orzech. Zimno w tym kraju jest złośliwsze od białego wilka stepowego i od szarego górskiego niedźwiedzia, zabiera ofiary niepostrzeżenie i bez ratunku, ukołysawszy je poprzednio do snu słodkiego. Długie mrozy wywołują niewytłomaczone objawy elektryczności. Nie można się zawinąć w futro, ani wsunąć pod wełnianą kołdrę bez wywołania trzeszczących iskier elektrycznych. „Muchy, bąki i inne owady twardnieją w zimnie tak, iż można łamać je jak szkło, a jednakże mróz nie zabija ich.“ Jakżeż się tu zabezpieczyć od zimna i jak przed śmiercią uchronić? Wygrzebuje dół w śniegu, wsuwa się tam podróżny pod biały całun, który go przykrywa — i oto żywioł, który dopiero co groził mu śmiercią, jest teraz narzędziem jego ocalenia.

Czy pardwa lub rosomak nauczył indyanina tych tajemnic życia, czy twarda konieczność?... Zima ze swymi lodami i różnymi gatunkami śniegu jest porą pracy połowu ryb, polowania na zwierzynę poszukiwaną dla swych drogich futer, a zimą powraca dostatek do chaty czerwonoskórych i do jaskiń eskima.

A teraz przenieście się myślą w gorące kraje Afryki południowej, w podzwrotnikowe okolice Zambezi, niezrzucające nigdy swej cudownej szaty — w krainę dziewiczych palm, nieprzebytych lasów i gór, których szczyt wieńczy wieczna zieloność. Murzyni, zamieszkujący ten kraj, żyją prawie jak dzikie zwierzęta, nie w lasach i w dolinach, ale w krzakach i w trzcinie. Największa ich plaga — niewola, najdotkliwszemi klęskami—głód i wojna. Dziesiątkują ich do reszty rządy okrutnych naczelników, znanych pod nazwiskiem *bongas* (tygrysów). Typ murzyński bywa wcale piękny. Kafrowie np. odznaczają się piękną budową i proporcyonalnością ciała. Jakże nędznie wyglądały by ucywilizowany europejczyk, gdyby stanąć musiał w stroju Adamowym obok czarnego natalczyka. Ileż to nędzy pokrywają atłasy i aksamity, ile kalectw i jakie zwyrodzenie panuje w sferach arystokratycznych i w klasie robotniczej! Adumas jest z natury leniwy. Musi być przyciśnięty potrzebą, aby zechciał pracować przez cały rok w misyi lub w rządowej faktoryi francuskiej. I w tym jeszcze razie będzie się wysilał, aby jaknajmniej pracować i nie przestanie powtarzać, że go zamęczają. Zresztą żywy i ruchliwy, a usposobienia zmiennego. Dzisiaj jest w wybornem usposobieniu, jutro będzie ponury i zgryźliwy. Jeżeli pagórek, na którym wybudował chatę, sprzykrzy mu się z czasem, opuszcza go i przenosi swoje graty w przyjemniejszą okolicę, pod nieba łaskawsze.

Małżeństwa są tu uważane za kontrakty handlowe, w których się wyzyskuje kupującego, o ile tylko można. Kobietę kupują za towary lub pieniądze, cena jej wynosi 1,500 do 2,000 franków i więcej. Gdy się uprzykrzy mężowi z jakiegobądź powodu, odsyła on ją temu, od kogo nabył i odbiera towary lub pieniądze, jakie dał za nią. Kobieta, przeszedłszy na własność męża, musi spełniać wszelkie jego rozkazy. Nie przeszkadza to jednak bynajmniej, by po kilku zbyt niegrzecznych słowach męża lub paru bolesnych razach bambusem, nie zabrała się i nie wróciła pod dach rodzicielski. Po każdem takiem przerwaniu pożycia następuje małżeński sąd polubowny. W dzień i o godzinie naznaczonej zbierają się naczelnicy. Przed tymi stają winni ze świadkami i obrońcami. Jeden z nich zaczyna mówić. W długiej, rozwlekłej gadaninie przedstawia całą historyę, mieszając w to wszystko, co mu się na język nawinie. Na zarzuty, wypowiedziane z mniejszym lub większym zapałem, odpowiada ciągle kobieta: „Mam bydlę za męża, nie daje mi zapaski, bije mnie. Umieram z głodu, nie mam bananów do jedzenia, ani tytoniu do palenia. Nie cierpię go, zabija mnie!“ Mąż zaś odpowiada: „Mam żonę do niczego, jest leniwa, łakoma, świegotliwa, brzydka jak noc...“ Brzydkie słowa krzyżują się z sobą jak ogień rotowy, wreszcie wszyscy zapalają się, gestykulują, wyją, wygrażając sobie wzajemnie. Wszyscy mówią naraz, każdy chce drugiego przekrzyczeć. Biorą się wreszcie do dosadniejszych argumentów — do kijów; gorąca walka zdaje się być nieuniknioną. Jeden wszakże ze starszych, rozważniejszy i mniej zapalczywy, usiłuje uspokoić wzburzone zgromadzenie. Para poróżniona godzi się wreszcie, następuje wymiana podarków i wszyscy rozchodzą się najspokojniej do domu. Nazajutrz pojawiają się te same sceny.

Adumasi względem białych przesadzają się w gościnności, wiedzą bowiem dobrze, że ci najmniejszą przysługę hojnie im wynagradzają. Ale nawet po otrzymaniu sowitej nagrody stawiają żądania bez końca. Są bowiem z natury skąpi i chciwi. Oto portret naczelnika wsi adamaskiej, skreślony ręką misyonarza: „Co do powierzchowności, jest to typ dosyć wybitny — wzrost wysoki, czoło wyniosłe, mina pewna siebie, chód swobodny. Co do strony duchowej: chytry, przebiegły, a przedewszystkiem skąpy. Chaty jego zapchane są towarami, a zdaje mu się, że jest biedniejszym od żyda wiecznego tułacza. Po całych dniach będzie cię nudził ciągłemi żądaniami, a choćby tylko szpilkę zdobył, odejdzie zadowolony. Nikt się tak nie cieszył z naszego przybycia w te strony, jak Loku. „Biały jest bogaty — mówił sobie, ma serce wielkie i szlachetne, będzie mi zawsze dawał i nie ścierpi, by ojciec jego cierpiał nędzę.“ I w samej rzeczy, przychodził codzień do naszej chaty. „A, dzień dobry Loku! Nie umarłeś, jak widać“ — mówimy do niego uprzejmie. „Ba, *minisso*, nie.“ — „Czego sobie dzisiaj życzysz?“ — „Ach! *minisso*, przyszedłem cię odwiedzić; czy nie jestem twoim przyjacielem, czy nie sprzedałem ci tej ziemi?“ Ale wkrótce wychodzi szydło z worka. „Czyż nie widzisz starej mej zapaski — mówi do Ojca przełożonego płaczliwym, żałosnym tonem — i tej czapki dziurawej i tego, że prawie nagi jestem? Mój soli, daj mi prochu itd.“ W misyach odbijają korzy-

stnie działalność trapistów od propagandy jezuitów. Kiedy ci ostatni główny kładą nacisk na przygotowanie owieczek do chrztu i do sakramentów i dlatego wyuczają je wcześnie paplać *Ave Maria*; pojmują pierwsi swoje zadanie trochę rozumniej. Trapiści osiedlają się przedewszystkiem w okolicach pustych, nieuprawnych, pracą swoją i przemysłem zamieniają je na żyzne łany; uczą ludzi uprawy roli i wszelkich gałęzi gospodarstwa wiejskiego dla podniesienia dobrobytu ludu, rzemiosł i przemysłu, zakładają sami młyny, rękodzielnie, fabryki sukna itd. „Obóz nasz— pisze jeden z misyonarzów — ma niejakie podobieństwo do obozu wiejskiego; nasi bracia — to także żołnierze, lecz Chrystusowi, bronią ich — różaniec i łopata; armaty nasze — to pługi; nie sypiemy szańców, lecz robimy drogi, orzemy pola, nie siejemy śmierci, lecz ziarno, a wszystko w spokoju i milczeniu.“ Na tej drodze zawiązują trapiści stosunki z krajowcami, a jak są praktyczni i trzeźwi, tego dowodzi, między innemi, następujący list: „Samo mówienie z ambony nie wystarcza, trzeba wprzód kafrów nauczyć innych rzeczy, trzeba ich ubierać jak dzieci, uczyć jeść łyżką, nauczyć pracować, mieszkać po ludzku, to znaczy wchodzić i wychodzić z chaty prosto, a nie jak zwierzęta na czworakach. Nakoniec musimy ich mieć obok siebie jak rodzice, którzy obcą sierotę przyjmują do domu, gdy chcą ją wychować według swojej woli. Dodaję tu tylko to, co powiedział Chrystus: „Kto maluczkiego w moiem imieniu przyjmuje — mnie przyjmuje.“ Dobrze jest nadto, że klasztor posiada dużo gruntu, bo z tego sądzą kafrowie o wielkości człowieka i domu. Zwyklego misyonarza nie będą nigdy tak szanowali, jak właściciela wielkiej posiadłości. W Japonii i w Chinach misyonarz może imponować, gdy ma jedwabny ubiór lub złote dewizki; na kafrach nie robi to wrażenia, bo widzą to u każdej holenderskiej lub angielskiej pani. Lecz człowiek, posiadający wiele bydła i ziemi, mający dużo czeladzi i mieszkań, wydaje im się wielkim, choćby nawet chodził boso i zajmował się zwykłemi robotami. Dlatego też, jeżeli pragnę większych posiadłości, to nie z chęci wzbogacenia się, lecz abym powiększył owczarnię Chrystusa...“

Ograniczam się do powyższych wyjątków, dających wyobrażenie o zawartości przytoczonych dzieł. Znamionują one wyraźnie stanowisko naszych „Misyj katolickich;“ leży tu złożony bogaty, lecz *jednostronny* materyał, z którego etnolog czerpać może jedynie z wielką ostrożnością. Pod względem formy, są to rzeczy poczytne, zajmujące, ilustrowane, i z góry na szerszą obliczone publiczność.

H. B.

LITERATURA I SZTUKA.

TEATR.

E. Lubowski: *Przyjaciółka żon*, komedya w 5-ciu aktach.

Dużo wody ocean pochłonie i dużo jej przeleje się przez upusty krytyki, zanim między chodzącymi do teatru i piszącymi dla niego wygaśnie cześć dla słomianych fetyszów komedyi francuskiej. U nas więcej niż gdziejindziej odległą jest chwila, kiedy bez obawy wzbudzenia krzyku gęsi kapitolińskich można twierdzić, iż robota sceniczna stanowi w najlepszym razie *połowę* wartości sztuki, a więc jedynie ten worek, w którym Labiche'e, Sardou'owie, Dumanoir'y zaszywają dla uciechy wyznawców fetyszyzmu—słomę. Jeśli umysłowość nasza, wprowadzona przez scenistów francuskich w stan hypnozy, nie może się ocknąć pod wpływem dowodzenia słownego, to taki dowód rzeczowy, uplastyczniony, jak ostatnie dzieło Lubowskiego, powinienby być nieskończenie wymownym w zalecaniu ojczystego zagonu sztuki, powinienby skłonić do obłożenia takim cłem tandety zagranicznej, by trudniej jej było przebrnąć na naszą scenę, niż wielbłądowi wleźć w uszko igły. Nie łudźmy się jednak, Lubowski jest i będzie chwalony półgębkiem, a gdy Sardou wypcha nowego fetysza i nowego nadeśle, zaślinimy się, miotając na cześć jego okrzyki.

Tymczasem dzieło Lubowskiego jest wyborne pod względem roboty scenicznej, posiada niepospolite zalety literackie i wymierzyć doprawdy niedającą się wyższość etyczną nad wyrobami któregokolwiek ze scenistów francuskich. Chcecie ją dojrzyć? Widzicie w sztuce tej wiarołomstwo żon i mężów, podobnie jak w pierwszym lepszym utworze Sardou'a lub Dumasa, ale nie idzie w niej o to, by podniecić wyobraźnię, ukazując jakiś nowy, zadziwiający sposób, użyty przez żonę dla zdradzenia męża, lub nowy, nigdy jeszcze nie zastosowany, w jaki mąż zemścił się na niej, czy na kochanku; nie idzie o wytworzenie dla trojga tych istot takiej niebywałej sytuacyi, z której mogliby się uratować jedynie wykonywając budzące podziw łamańce psychologiczne; nie idzie o opłatanie ich węzełkiem nowej „kwestyi,“ którą rozcina tylko paradoks idyotyczny... Wiarołomstwo jest tu wielką falą, która wypływa z układu stosunków w pewnej grupie społecznej, i płynąc, zalewa mężów i żony, szlachetnych unosi pod koło, które ciężarem cierpień wielkich a bezużytecznych druzgocze ich dusze, słabym pozwala się zachłysnąć i wyjść z niej w postaci istot ochlapanych, zabłoconych, tyleż śmiesznych, ile były bezrozumne, dając się jej unieść.

W komedyi znajdujemy węzeł psychologiczny, dość słabo zadzierzgnięty, ale niewikłany nadzwyczajnymi skrętami i rozwiązany z prawdą i prostotą.

Oplata on właściwie dwie tylko osoby (Cierski i żona, Ada), gdyż kochanek (Toszewski) potrzebny do owego węzła pozostaje następnie na uboczu. Dwie te osoby na płaszczyźnie swego otoczenia rysują się wypukło, jako istoty szlachetniejsze, ale podczas gdy Cierski posiada wszystkie zalety wybornej charakterystyki Lubowskiego, to w postaci Ady niektóre rysy są zatarte, czy też poprostu w akcyi nie dość wyświetlone; dojrzewające w niej postanowienie porzucenia męża i ucieczki z kochankiem byłoby dostatecznie umotywowane dla kobiety bardziej pospolitej, nie zaś tej, która zdobywa się następnie na ładny ruch szczerości pod postacią nieprzymuszonej spowiedzi przed mężem z intencyj swych w czyn nieobleczonych i w której rodzą się takie silne odruchy uczucia, jak późniejszy wstręt do niedoszłego kochanka, do otoczenia i przyjaciółki, która ją spychała po równi pochyłej.

Cierski, w światku istot, zawdzięczających dobrobyt przypadkowi, jest jedynym, który powiada, iż pracą ciężką zdobywa dla swej żony okrasę życia. Rzecz dziwna lub nie dziwna, iż ten jedyny człowiek, który pracuje, nie odczuwa uroków swego światka, nie dostrzega blasków jego, nudzi się pośród otoczenia, choć nie odpycha go i jest dlań wyrozumiałym. Cierski nie jest nadzwyczajnym człowiekiem, jest tylko porządnym, zalety jego są bierne: nie robi tego co robią inni, czyli nie próżnuje i nie zdradza. Przez proste zestawienie tej postaci pospolitego, uczciwego człowieka z otoczeniem, pływającem w jakimś potoku wiarołomstwa, z tymi mężami szamocącymi się w jakiejś manii lubieżnej i żonami w wiecznych za nimi pościgach, autor otrzymuje ogromny efekt satyryczny.

Wątek położeń snuty jest ze zręcznością wielką; raz jeden tylko wikła się sposobem nieco zazbyt przypominającym krotochwilę (w akcie drugim), rozwiązany jest lekko i naturalnie. Do prowadzenia go posługuje tytułowa postać komedyi „przyjaciółka żon,“ będąca właściwie ich powiernicą, przyjaciółką zaś i to dość bliską... mężów. Intrygując z żoną Cierskiego, wpływa na Wiatrowicza do nawiązania sytuacyj dramatycznych, bałamucąc dwóch mężów jednocześnie (Rabsztyńskiego i Welickiego), służy do wikłania sytuacyj komicznych; stopniowo przygotowywane zdemaskowanie jej następuje w akcie ostatnim, wygnanie jej z domów, w których „grasowała,“ jest zakończeniem sztuki. Umiejętna obserwacya życiowa i dosadna charakterystyka osób stanowią naturę talentu Lubowskiego, obie te cechy w *Przyjaciółce żon* znakomicie zostały uwydatnione.

Zaznaczę szczegół: rezoner komedyi nie wpływa na bieg akcyi. Bardzo pocieszający mojem zdaniem objaw, boć skoro ten strach na wróble sam nie daje się wypłoszyć z pola komedyi, słuszna przynajmniej, żeby stał na uboczu. Wartoby nad nim dać napis: rzez martwa zostawiona na składzie dla zapotrzebowania tych, którym nałóg kazałby żałować, gdyby widzieli ją na śmietniczku.

Sztuka wystawiona była starannie, a grano dobrze.

F. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Z rodzaju międzynarodówek niewinnych. — „Związek powszechny kobiet“ i *Bulletin* pani Szeligi.—Bez stronnictwa i bez opinii wyłącznej. — Koszyczek, w którym wszystko znaleźć się może. — Wyrok zaoczny na mężczyzn. — Na co nam brak a na co nie brak. — „Ukraina“ jako przyczyna szumu Warszawy.— Magnaci w roli właścicieli jatki. — Potrzeba zalatania despektu. — Arystokraci po Adamie. — Jeremiasz o prasie. — Skąd płynie złe. — Jeszcze etyka lekarska. — Ciekawy dla niej wypadek.

Pani Marya Szeliga (Loevy), znana powieściopisarka polska, zaczęła w Paryżu wydawać *Bulletin de l'union universelle des femmes*. Nie jest to zwykłe pismo dla kobiet, podobne do zmarłego *Świtu*, a tem mniej żyjącego *Bluszczu*, ale z rodzaju międzynarodówek. Przypuszczalnie odtworzyć sobie można drogę rozumowania, która redaktorkę doprowadziła do tego przedsięwzięcia, w następujący sposób: jeżeli robotnicy związali swoje wspólne interesy niezależnie od krajów, które zamieszkują, spójnią międzynarodową, dlaczegożnie miałyby tego uczynić kobiety, ten stan... piąty społeczeństw, dotąd jeszcze niewyzwolony i nieuprawniony? Czemuż by one nie miały utworzyć internacyonału — *union universelle*? Tak zapewne była najogólniejsza idea, która zrodziła wydawnictwo. Pośpieszam jednak dodać a poniekąd i uspokoić, że do urzeczywistnienia jej w *Bulletinie* wzięto się ze skromnością, nieprzypominającą niczem międzynarodówki robotniczej. Panią Szeligę dzieli od Marxa długość osi między dwoma biegunami. Wprawdzie, wykładając swój „program,“ powiada ona, że celem miesięcznika będzie: „jednoczyć rozmaite społeczeństwa, zajmujące się poprawą losu kobiet, w jedno *stowarzyszenie solidarne*“ oraz „wszystkie usiłowania jednostkowe mające tę samą dążność, dla uczynienia ich działalności łatwiejszą i skuteczniejszą;“ ale natychmiast zastrzega: „Nie należąc do żadnego stronnictwa i nie oświadczając się za żadną opinią wyłączną, *Bulletin* posiada jednak tendencyę: *solidarność niewieścią* opartą na naszych wspólnych cierpieniach i *poprawie losu kobiet*.“ I tu nasuwa się porównanie z międzynarodówką robotniczą, która również nie należy do żadnego stronnictwa“ i nie wyznaje żadnej „opinii społecznej,“ tylko łączy interesem

ludzi najrozmaitszych przekonań. Ale internacyonał powiada wyraźnie, czego chce, a „union universelle“ kobiet — nic; pierwszy szczegółowo określa swoje wymagania, drugi żąda tylko ogólnie „poprawy losu.“ Poprawa ta polega tu na zdobyciu posad w urzędzie telegraficznym lub pocztowym, tam na zdobyciu prawa wybierania kandydatów do rad gminnych lub uczęszczania do uniwersytetu — itd. Jakkolwiek „stronnictwu kobiecemu“ już sama natura dała kilka cech wszystkim uczestniczkom wspólnych i odróżniających je od mężkiego, wątpię jednak, czy „union universelle des femmes“ a więc i jego *Bulletin* bez jakiejś „opinii wyłącznej“ obyć się może. Bo ostatecznie trzeba ją mieć chociażby dla ustalenia sobie pojęcia „postępu,“ dość wieloznacznego. Przypuśćmy np., że p. Szeliga odbierze skądkolwiek taki list: „U nas sprawa niewieścia nie postępuje, ale cofa się. Kobiety pracują już nietylko w domach, fabrykach i na polach, lecz w biurach i kantorach, wszędzie spełniając mozolniejsze obowiązki. Ponieważ u ludów dzikich kobiety muszą wykonywać najcięższe roboty i dopiero w cywilizacyi zostały uanielone i otoczone idealną bezczynnością, więc powracamy — do stanu barbarzyństwa.“ Nie należąc do „żadnego stronnictwa“ i nie trzymając się „żadnej opinii wyłącznej,“ redakcya powinnaby taki list zamieścić, zwłaszcza że on wymaga również „poprawy losu;“ a jednakże zdaje mi się, że zamknęłaby przed nim swe kolumny i to w imię zasad jakiegoś „stronnictwa“ i jakiejś „opinii.“ Po co więc korcem nakrywać swe przekonania, kiedy one z pod niego wyłazić muszą i kiedy nawet kobiecej międzynarodówki niepodobna skleić ogólnikowym frazesem? Na 100 kobiet co najmniej 50 inaczej rozumie „wspólne cierpienia“ i „poprawę losu,“ aniżeli p. M. Szeliga i dotychczasowe jej korespondentki. Chłop w anegdocie, zapytany, coby robił, gdyby został królem, odpowiedział, że leżałby ciągle na piecu i jadł słoninę. Podobnież wiele kobiet, zapytanych, jak pragnęłyby sobie „poprawić los,“ odrzekłyby niezawodnie, że chciałyby codzień mieć świeżą przyjemność, co tydzień nową suknię, co miesiąc inną biżuteryę, a zawsze wielbicieli. O pracy i prawach (z wyjątkiem towarzyskich) ani by wspomniały. Jeżeli więc „union universelle des femmes“ i jej *Bulletin* zamierzają być organem kobiet walczących o pracę i prawa, muszą stanąć na gruncie określonego „stronnictwa“ i pod chorągwią wyraźnej „opinii.“ Trzeba sobie i światu powiedzieć jasno, czego się chce, jakiej „poprawy losu,“ bo ogólnik ani drogowskazem, ani podnietą dążeń, ani hasłem czynów być nie może. Może być tylko próżną torebką, w którą każda kobieta włoży to, czego pragnie — jedna Darwina, druga Dunina, trzecia Ćwierciakiewiczową, a czwarta arkusze z modami.

W pierwszych dwu numerach *Bulletinu*, które czytałem, znajdują się korespondencye niewieście z rozmaitych krajów (z naszego niema), zaznaczające postęp ruchu emancypacyjnego. Jakkolwiek ruch ten tłomaczony jest czasem dziwnie — tak np. pani Ehrnroth przypisuje jego rozwój w Finlandyi „długiej zimie, ochładzającej namiętności,“ znajdujemy jednakże w niektórych doniesieniach fakty ciekawe i nieznane. Natomiast może najgłośniejsza i najuczeńsza ze współpracowniczek *Bulletinu*, pani K. Royer, wydaje o mężczyznach taki wyrok zaoczny, jaki zwykliśmy słyszeć tylko w sądach przysięgłych, obradujących przy kawie w komedyach. Według niej „nauka teoretyczna jest dziś opuszczona przez mężczyzn,“ a „kobiety (we Francyi) powinny zapełnić tę lukę.“ Nie mam nic przeciwko temu, ale zdaje mi się, że jednakże ten liczny między mężczyznami ... nawet w tej pracy na coś jeszcze się przyda.

Ponieważ wierzę w „cierpienia kobiet“ i pragnę „poprawy ich losu,“ więc życzę p. Szelidze powodzenia w jej przedsięwzięciu, o ile ono oparte zostanie na podstawie wyraźnego i szczegółowego programu, zamiast ogólnikowego frazesu. Nie dość rzucić wyraz „postęp,“ trzeba go jeszcze określić, bo przecież wiadomo, że on jest również wypisany na sztandarze najskrajniejszych wsteczników, tylko z dodatkiem „zdrowy“ lub „prawdziwy.“

Z faktu, że paru kupców przy wyprzedaży t. z. „resztek“ utargowało w ciągu dwu dni przeszło 30,000 rs. *Gazeta losowań* wnosi, że po za utyskiwaniami kryje się dostatek. Jest to uwaga słuszna o tyle, że nam na stroje i bale nigdy nie braknie, tylko na chleb, buty, książki, pisma, odzież i wpisy dla dzieci itd. W tych rozchodach czujemy ubóstwo i dlatego najbogaciej wyglądamy w karnawale. Zresztą może ma słuszność jeden z czytelników naszych, który tłomaczy „szum“ Warszawy następującem porównaniem. Według niego podobną ona jest do szklanki z wodą, w której rozpuszczono sodę: potrzeba wsypać szczyptę kwasu, ażeby płyn natychmiast się wzburzył. Tym kwasem w życiu Warszawy ma być t. z. „Ukraina.“ Winienem ten gatunek objaśnić szczegółowiej. Pod tem mianem znani są u nas ludzie bogaci, posiadający rozległe dobra i cukrownie na Ukrainie, którzy przebywają stale lub czasowo w Warszawie dla przeżycia swoich rent i dochodów. Ponieważ, z małymi wyjątkami, nie mają oni innego zajęcia, prócz zabawy, a pomimo wszystkich uszczupleń źródła pieniężne tryskają im obficie, więc dzięki temu ilościowo nielicznemu kwaskowi soda warszawska szumi mocno, zwłaszcza w karnawale. „Ukraina“ rozkupuje w zimie bilety do teatru na wszystkie lepsze przedstawienia, „Ukraina“ wyprawia najświetniejsze bale, „Ukraina“ występuje na zabawach z najokazalszym zbytkiem i pławi się w szampanie. Czy ona ma najwięcej powodów do wesołości, czy też najwięcej pieniędzy do wydania — nie rozstrzygam, bo to zaprowadziłoby mnie albo w dziedzinę rozmyślań geograficzno-politycznych, których tu wyrzec się muszę, albo do przeglądania cudzych kieszeni, których badać nie chcę. Poprzestaję więc tylko na zaznaczeniu rozpowszechnionej opinii, według której głównym żywiołem, wywołującym i podtrzymującym przedstuletnią hulaszczość Warszawy jest „Ukraina.“

Jakkolwiek niektórzy członkowie tej kolonii w swych rodowodach powołać się mogą, jako na znakomitego przodka, tylko na Adama, mimo to szczerze i jawnie gardzą oni hołotą, złożoną z lekarzów, literatów, inżenierów, adwokatów i przemysłowców, o których na balach składkowych ocierać się muszą. Otóż te arystokratyczne gusty wystawione zostały na bardzo ciężką próbę i narażone na przykry kłopot. Panowie: G. Plewako, L. hr. Krasiński i inni ludzie z „towarzystwa“ założyli „spółkę mięsną“ i otworzyli sklep, który podobno ma wielkie powodzenie, a zatem w rękach posiadaczów obecnych nadal się utrzyma. Co na przyszłych balach zrobi „Ukraina“? Czyż będzie kręcić nosem wobec mieszczaństwa, odkąd pp. Plewako, Krasiński i inni są tam handlarzami wołów i rzeźnikami, jak pierwszy lepszy... *berg* lub... *icz*? Wprawdzie nie sami oni rąbią i sprzedają mięso, lecz czyni to jakiś francuz (co dla „wyższego świata“ jest znacznem uszlachetnieniem paskudnego zawodu), ale i niejeden zwykły właściciel jatki ma także zastępców i służbę. Wątpię bardzo, czy znajdzie się taka „ukrainka“ która z tego powodu odmówi zaproszeniu do tańca pp. Plewace lub Krasińskiemu; jeżeli wszakże tego nie zrobi, to tylko skutkiem sofistyki arystokratycznej, która umie dwie ilości równe zrobić nierównemi lub też skutkiem roztropności dostojnych potomków Adama, zalecającej lekceważenie ludzi tylko tam, gdzie z większem lekceważeniem spotkać się nie można.

P. Wincenty Korotyński jest nietylko dobrym stylistą, lecz i rozważnym taktykiem. Prawdopodobnie nosił on w sobie żółć od początku zimy, ale wylał ją w *Tygodniku ilustrowanym* dopiero po karnawale, bo wiedział, że podczas zapust nikt na nią nie zwróci uwagi. A wylał ją na głowy naszego dziennikarstwa, które — według niego — moralnie upada, podleje. „Schodzi ono w tej chwili na ostatni już szczebel, na którym spotkać się musi z rozbójnictwem... Niejasność pojmowania różnicy między czynami moralnymi i niemoralnymi, popełnianymi piórem, nieumiejętność rozróżniania między sprawami publicznemi a prywatnemi, wgóle brak wykształcenia naukowego i towarzyskiego w piszących — oto główne przyczyny, że dziennikarstwo nasze tak często dziś zbacza od wysokiego zadania.“ Zdaje się ono, przenicowawszy znane godło, mówić: „Służmy niepoczciwej sławie.“ Głos jednakże p. Korotyńskiego odbiwszy się tu i owdzie zgodnem echem, przebrzmiał dość szybko, nie wywoławszy rozpraw. Czy go uznano za przesadę, czy też za zbyt słuszny a przykry wyrzut, ażeby można było „prać publicznie domową bieliznę,“ która według naszej etyki lekarskiej powinna być prana w piwnicach bez okien?

Pomijam nożyczki, które po uderzeniu w stół wołały się nie odzywać; przyczyną milczenia większej części prasy był jej wrodzony, chorobliwy wstręt do publicznych rachunków sumienia, do rozbioru spraw drażliwych, do obnażania jakichkolwiek ran, wstręt, który, mojem zdaniem, jest również główną przyczyną upadku naszego dziennikarstwa. Aż do śmieszności posuwana zasada pism milczenia o swoich wyjemnych przymiotach i wadach nadaje im nieznany innym narodom charakter nudnej a często komicznej powagi. Wyglądają one jak suche referaty biurowe, spisywane według reguły: ja ciebie nie widzę, a ty na mnie nie patrz. Gdy zajrzymy do prasy zagranicznej, ogarnie nas gwar, życie, zmieszane głosy sporów; nasza wygląda jak cmentarz, na którym pojedyncze pisma są nagrobkami, kryjącymi trumny czczonych przez nie nieboszczyków. Przy każdym cmentarzu jest zawsze kilka szynków — są one i przy naszym. Umarli nie mogą uciszać wrzawy pijaków i awanturników, ale my moglibyśmy być żywymi i tłumić ją. Niestety, każdy czuje wtedy tylko potrzebę oddziaływania przeciw rozbojowi, gdy sam zostanie napadnięty. Dopóki wszakże odzierają z czci i wiary jego sąsiadów, nie myśli palcem ruszyć w ich obronie. Skoro zaś napastnik wie, że będzie miał przeciw sobie tylko tego, którego kamieniem lub błotem uderzy, staje się śmiałym, zwłaszcza że nawet często ten jeden do walki z nim nie stanie. To też można u nas dostrzedz objaw dziwny, mianowicie, że obelga prywatna mniej waży i ludzi obraża, niż publiczna. Gdyby niejeden z paszkwilistów napisał to w liście lub powiedział w towarzystwie, co drukuje w dzienniku, prawdopodobnie spotkałby się z bardzo energicznym odwetem. Nie będę p. Korotyńskiemu przypominał jego dawnych grzechów, popełnionych ongi przeciw „pozytywistom,“ ogłoszonym jako *vogelfrei*, których wolno było każdemu wieszać na pierwszej lepszej gałęzi i stawiać pod pręgierzem wszelkiej hańby, bo może on dziś mieć inne zdanie; ale sądzę, że teraźniejsza jego elegia pozostanie bez skutku, dopóki prasa nasza nie będzie miała i wyrażała własnej o sobie opinii. Niech napaści i obelgi przeciw pismu innego kierunku nie sprawiają nam przyjemności, niech skalp zdarty długą ręką z głowy zapaśnika innej chorągwi nie stanowi dla nas miłego widowiska, niech łobuzerya, niegodziwość, potwarz, zniewagi będą zawsze skarcone bez względu na to, od kogo wychodzą i kogo dotyczą, a wtedy ustrzeżemy się „rozbójnictwa.“ *Suum cuique*. Prasa nasza na „ostatni szczebel“ je-

szcze nie zeszła, bo porównana np. z francuską, najwstrętniejszą, ma zaledwie parę embryonów rewolwerowego kroju; ale coraz bardziej mnożyć się w niej będą gady, jeżeli pozwolimy im swobodnie wygrzewać się na słońcu. Co tu mówić o jakiejś etyce dziennikarskiej tam, gdzie można jakieś pismo lub jakiegoś pisarza oskarżyć, że spalił siedem kościołów lub pożarł żywcem sto niemowląt a żaden organ nawet słowa za spotwarzonym nie bąknie!

Maluczko, a zupełnie zrozumiemy „etykę lekarską.“ Postępujący ciągle jej wykład na dowodach w *Gazecie lekarskiej* przekonywa mnie o słuszności domysłu, że nie jest to żaden kodeks moralny, określający stosunki leczących względem siebie i chorych, ale katechizm przyzwoitości a raczej szyku. „Człowieka — tak uczy *Gazeta*—któryby z rozpiętem ubraniem wszedł do salonu, nikt nie nazwie nieuczciwym, ale o nim każdy powie, że jest nieprzyzwoitym. Tak samo też wywieszanie nazwisk lekarzy po hotelach nie jest rzeczą nieuczciwą lub niemoralną, ale nieprzyzwoitą... *Kilka* ogłoszeń o przyjeździe *raz na rok*, są rzeczą *naturalną*, ale *peryodyczne* ogłaszanie się w pismach uważanem jest za rzecz nieprzyzwoitą.“ Drachma ogłoszeń jest pożyteczną, ale uncya już niezdrową. Wszystko to bardzo piękne a nadewszystko wesołe, ale po co się nazywa „etyką“—systemem moralności? Czy nie lepiej już byłoby nazwać „hygieną,“ zasadami szyku lekarskiego lub czemś podobnem?

Kuryer codzienny wskazuje miejscowości na prowincyi, niemające lekarzów a mogące dać im otrzymanie. Otóż w jednej z nich, w Osiakowie, proboszcz oświadczył gotowość dawania bezinteresownie obiadów lekarzowi przez czas nieograniczony, o ileby tego potrzebował. Ciekawy jestem, coby na to powiedziała „etyka lekarska,“ gdyby który z „młodych kolegów“ taką ofertę przyjął. Możeby jego nazwisko wywiesiła na czarnej tablicy; natomiast jeżeliby on w Osiakowie niedbalstwem lub nieumiejętnością zabił setkę chorych — „etyka“ nie widziałaby żadnego powodu mieszania się do spraw szan. kolegi. Ach, gdyby ten mimowolny humor nie był często gorzkim, jakże byłby przyjemnym.

Poseł Prawdy.

TYMCZASOWY OBRACHUNEK *).

W nr. 10 *Głosu* ukazał się z mojego powodu artykuł *Bieżący rachunek.* Napisany on został (przynajmniej takie jest jego pochodzenie bezpośrednie) wskutek sprostowania, uczynionego przeze mnie w nr. 9 *Prawdy* co do pewnej nieścisłości, wytkniętej w odpowiedziach od redakcyi wspomnianego pisma. Wiele miejsca w tym artykule poświęcono sprawie międzynarodowego ustawodawstwa. Ponieważ autor, p. S. H. Siemieniecki, przyznaje „pewną słuszność“ moim zapatrywaniom i zgadza się na moje wnioski z pewnemi zastrzeżeniami, wreszcie ponieważ tutaj chodzi nie tyle o zbicie moich poglądów, ile o wypowiedzenie rzeczy dotychczas nietykanych w *Głosie*, tem samem jestem zwolniony od zatrzymywania się nad odpowiednimi ustępami, lubo tu i owdzie wartoby coś powiedzieć. Sprawa ta jednak, dzięki Wilhelmowi II, jest na porządku dziennym i sądzę, że będę miał możność odezwania się o niej jeszcze. Wogóle, jeśli wypadło mi dzisiaj wziąć pióro do ręki, uczyniłem to nie w celu prowadzenia sporów teoretycznych. Mamy z p. S. inny nieco drażliwy rachunek. Usiłuje on kilkakrotnie zajrzeć w moją duszę i śmiało obwieszcza, co w niej znalazł. „Sprostowanie nasze mocno się nie spodobało p. Żyw.“ Mojem zachowaniem się w *Prawdzie* nie dałem jeszcze praw do podobnych przypuszczeń, zachowaniem zresztą rzadkiem w naszem dziennikarstwie, bo według panującego zwyczaju mógłbym zamilknąć o sprostowaniu, tem bardziej, że zostało umieszczone w odpowiedziach od redakcyi. Zręcznemu jednak psychologowi przyznam się, że błąd mój, zresztą bardzo a bardzo podrzędnego znaczenia w artykule (jak zaświadczyć może sam *Głos*), sprawił mi istotną przykrość, nie dlatego, że wywołał sprostowanie, lecz ponieważ był błędem. Co więcej, gdybym chciał bawić się w analizę psychologiczną, jak p. S., mógłbym dowodzić, że właśnie pospieszenie z przyznaniem się do błędu nie przypadło mu być może do smaku. Atoli wiwisekcya mojej duszy nie ogranicza się na tym drobiazgu, o którym nie wspominałbym, gdy nie stanowił wstępu do czegoś poważniejszego. Otóż p. S. wmawia we mnie, lub raczej w publiczność, że dochodzę nawet do — nienawiści względem chłopów i dziwi się „udzielaniu sympatyi tylko pewnej drobnej części użytecznych członków społeczeństwa.“ Ach, panie J. H. Siemieniecki, jakże dziwne niezrozumienie mojego stanowiska, co więcej stanowiska całych partyj społeczno-politycznych zagranicy i mnóstwa wybitnych teoretyków! Przedewszystkiem słów kilka co do mnie samego. Unikam o ile można wywnętrzania się ze swoich uczuć przed czytelnikami, uważając za rzecz pożyteczniejszą i odpowiedniejszą rozbiór istoty społecznej. W tych pracach wykazywałem, że jedynie drobnej (nie zawsze!) cząstce społeczeństwa, znajdującej się w szczególnych warunkach, przypada czynna rola historyczna, rzeszom zaś włościańskim (nie wiejskim!) bierna. Stąd p. S. wysnuwa logicznie wniosek o — o nienawiści i sympatyi. Jeżeli już tak chodzi krytykowi o moje uczucia, wypowiem je otwarcie, aby uchronić go na przyszłość od jałowych zaciekań i zwolnić od możliwej wiwisekcyi. A zatem nienawidzę — ale nie ludzi-chłopów! Nienawidzę wstrętem — lecz tylko ku owym warunkom, co usuwają człowieka od dobrobytu i wiedzy (naturalnie mam znowu na myśli nie wiedzę zdawkową, elementarną) *). Co więcej, z najżywszą sympatyą przypatruję się dążnościom społeczno-demokratycznych lig angielskich, marzących o „zgotowaniu przykrego losu“ wsiom (tj. o wymazaniu „wsi“ z kart geograficznych, co zresztą chcą uczynić i względem „miast“) i o „wywłaszczeniu“ chłopów, o ile są jeszcze w Anglii. Dziwi mnie tylko, że p. S. nie sympatyzuje z tymi planami i prądami; wprawdzie, mówiłem o tej sprawie nawiasowo, lecz krytyk, który śledzi, jak wiadomo, stale za ruchem społecznym w obcych krajach, powinienby sądzić moje przedstawienie według samego źródła. „Zgotowanie przykrego losu wsiom,“ tak oburzające p. S., to przyjęcie najmitów wiejskich do gospodarstwa na kraju-folwarku, utworzonym z wykupna wielkich majątków, to założenie banków, które zdjęłyby ciężar długów lichwiarskich z chłopa i nabywały grunta tych, którzy daliby się przekonać o wyższości należenia do owego kraju-folwarku, wreszcie wywłaszczenie opornych resztek — naturalnie nie po to, aby wyrzucić je w otchłań nędzy, ale żeby uczynić je współwłaścicielami i współpracownikami w olbrzymim majątku, co umożliwi masową wiedzę i dobrobyt... A być może psycholog z *Głosu* wyciąga swe wnioski o mojej duszy z innych faktów. W pracach moich (zwykle teoretycznych) wypowiadałem, że nędza jest nieodzowną od drobnej własności ziemskiej przy szerokim rozwoju wymiany i że każda reforma, polegająca na obdzieleniu ludności drobnymi kawałkami gruntu, jest polepszeniem chwilowem, pociągającem za sobą nową, bezustanną potrzebę reformy tego samego rodzaju. Jest to zatem nieustające kręcenie się w kółku tych samych widnokręgów, tej samej nędzy i niedoli. Zachwalanie zaś tych reform jest grzechem, jeśli rozwój społeczny, jak w Niemczech, wyłonił możliwość dokonania gruntowniejszej poprawy bytu proletaryuszów rolnych: ustanowienia urządzeń gminnych, co byłyby wcieleniem tak zwanego prawa do pracy, zorganizowania gminnych instytucyj obowiązkowej pomocy w chorobie itd., wreszcie obrócenia gruntów państwowych w gospodarstwo zcentralizowane, gdzie dzisiejszy proletaryusz stałby się robotnikiem-urzędnikiem, czego wzory widzimy już w robotnikach-urzędnikach na kolejach pruskich i w zakładach górniczych państwowych. Wobec tych dążeń można z powątpiewaniem a nie z sympatyą, jak p. S., patrzeć na owych czynszowników, których władza chce stworzyć na pruskich pustkowiach państwowych *). „Część ludności cierpi głód i nędzę, nie mogąc znaleźć odpowiednio wynagradzanego zajęcia, tuż obok istnieją ziemie niezajęte, więc się jej takowe daje. Nie potrzeba na to żadnej doktryny, dość prostego uczucia humanitarnego.“ Naturalnie, uczucie humanitarne jest konieczne, ale niemniej konieczną jest „doktryna“ (pozostawmy przy życiu tego niefortunnego noworodka!), ażeby nie tłuc się po manowcach, lecz iść drogą pewniejszą i ku większemu dobrobytowi. „Nie oceniamy reform ze stanowiska ich inicyatorów, ale ze stanowiska ich wpływów na losy społeczeństwa.“ Zadziwiająco zgadzamy się w tej mierze z p. S.— w teoryi! „Nie sądzimy, żeby czasowe chociażby poprawienie losu jakiejkolwiek części ludu pracującego mogło stać się przeszkodą dla urzeczywistnienia lepszej przyszłości dla całego społeczeństwa.“ Tutaj drogi nasze się rozchodzą i my gorąco będziemy walczyli przeciwko utopiom, które chwilowo podnoszą dobrobyt, kiedy możliwe jest jak w Anglii lub Niemczech polepszenie gruntowniejsze... I zadaniem nauki społecznej jest powstrzymywanie właśnie od takich manowców i bezdroży, od tego ślepego błąkania się i oportunizmu. Takiem jest nasze stanowisko... Zaprawdę, szkoda, że krytyk mój tyle mówi o „osobistych antypatyach, które są wystarczającym powodem dla skazywania ludzi na głód i nędzę,“ w naszem przedmiotowem stwierdzaniu faktów tak gorąco chce dojrzeć nienawiści lub miłości, tak często wykrzykuje o „doktrynie“ i obdziera mnie z uczuć humanitarnych; daleko lepiej uczyniłby, gdyby zadał sobie nieco więcej trudu wnikać w myśl cudzą i nie usiłował jej zabrudzić...

Zresztą na psychologii praca p. S. nie kończy się. Autor jął się wyszukiwania u mnie sprzeczności. „Sprzeczności (mowa o jednej, którą wkrótce poznamy) nie dziwimy się. Między wypowiedzeniem jednego poglądu a drugiego upłynął cały rok, p. Żyw. zaś umie wypowiadać wręcz sprze-

*) Muszę tu złożyć podziękowanie redakcyi *Prawdy*, że nie odpowiadając z zasady na wystąpienia przeciw niej *Głosu* z powodu ich formy, raczyła uczynić dla mnie wyjątek. Korzystając zaś ze sposobności, dołączam i drugie podziękowanie, że pozwala mi od czasu do czasu wypowiadać przekonania, niekiedy odskakujące od jej własnych. Jest to wielką przysługą dla mnie, kiedy inne pisma drukowałyby moje prace jedynie pod redaktorską cenzurą i nawet w niewinnych stosunkowo artykułach umieszczałyby odpowiednie przypiski (np. ostatni mój artykuł w *Głosie: Single tax agitation*).

*) Pogardzając elementarnem wykształceniem jako ideałem filisterskim, jeśli stawia się je jako ostateczny poziom oświaty dla całych rzesz, dla usunięcia możliwych „psychologicznych“ zaciekań muszę oświadczyć, że nic nie mam przeciw tej samej oświacie jako tymczasowemu szczeblowi rozwoju.

*) Dałem w moim artykule pewną ocenę tych dążeń. A teraz równy przyczynek skądinąd: „Wiedeń, 6 marca. (Tel. pr. *Kur. warsz.*). W komisyi Rady państwa posłowie niemieccy żądają albo zaprowadzenia taryf strefowych, albo zniżenia istniejących taryf na kolejach. Prof. Biliński przemawia przeciw taryfom strefowym; ludności robotniczej nie należy sztucznie ruszać z miejsca...“

czne poglądy omal że z numeru na numer." Naprzód muszę wyrazić zdziwienie z powodu, że p. S. przykłada do mnie inną miarkę, niż tę, jaką zwykle mierzy się publicystów, z natury samego trybu pisania muszących popadać od czasu do czasu w sprzeczności; powtóre, jeszcze raz wyrazić podobne zdziwienie, że *Głos*, który od pewnego czasu imiennie i bezimiennie zadaje cięcia *Prawdzie*, zapomniał jakoś o tej wadzie jej „omal że z numeru na numer," wywoływanej mojem współpracownictwem. Przejdźmy jednak do moich przewinień. W nr. 7 z *zeszłego* roku p. S. wyszperał ustęp: „Jednakże mimo tego antagonizmu klasowego pomyślność najmitów, w obrębie kapitalizmu, ściśle się wiąże z zyskownym biegiem interesów przedsiębiorcy. Dość przejrzeć dzieje Trades-Unionów, aby należycie zrozumieć tę harmonię zobopólną na podścielisku sprzeczności interesów. W granicach chwili obecnej najmicie nie idzie o zniesienie kapitalizmu, jak rzemieślnikowi, lecz przeciwnie o jego rozrost, byleby był spętany przez odpowiednie urządzenia." Zdaje się, że p. S. w tym razie przyznaje mi słuszność. Tymczasem w roku *bieżącym* rzekłem: „Jeżeli warstwa robotnicza występuje z żądaniami międzynarodowego prawodawstwa, nie dba o skutki tych reform dla kapitalistów, niech całe nawet gałęzie przemysłu zbankrutują, to jej mało obchodzi." Zdanie to p. S. nazywa niedorzecznością — dobitnie a węzłowato! Przedewszystkiem mógłbym zauważyć, że w ostatnim wypadku p. S. winien rościć pretensye do robotników, którzy występują we względzie prawodawstwa fabrycznego z podobnie „niedorzecznemi" żądaniami — wszak moja rola ograniczyła się jedynie do stwierdzenia faktów! Natomiast krytyk na podstawie tego mógłby powątpiewająco popatrzeć na twierdzenie o wysnuwanej przeze mnie w roku przeszłym „harmonii." Każdy przyzna, że byłoby to jedynie właściwe postępowanie! Lecz nie — p. S. wolał zoczyć tutaj „sprzeczność." Muszę przejść zatem na odpowiednie pole, przyznać, że popełniłem obie wykazywane sprzeczności i oświadczyć, że oba „sprzeczne" zdania są prawdą. P. S. zajął się upolowaniem sprzeczności drukowanych, lecz nie zauważył, że są one jedynie sformułowaniem na papierze sprzeczności życiowych. Niedarmo autor *Kapitału*, najgłębszy z badaczy tegoczesnego porządku, używał dla uprzytomnienia myśli swojej heglowskich kategoryj! Ponieważ, jak mi się zdaje, p. S. nie wątpi o „harmonii," pozostawało mu jedynie wskrzesić w swojej pamięci chociażby bezrobocia górników belgijskich. Czyż mój krytyk sądzi, że ludzie ci, niszczący zakłady i pałace, zwracali uwagę na ową „harmonię"? Czyż najmici wiejscy angielscy, którzy zorganizowali w przeciągu 8 lat wychodźtwo 700 tysięcy współtowarzyszów do Ameryki *), po przyczynili się w wielkiej mierze do opłakanego stanu rolnictwa krajowego (Kabłukow)? Robotnik, na kark którego spadają bezustanne ciosy, nie dba o skutki, zwłaszcza jeśli w kraju istnieją organizacye emigracyjne. Owa „harmonia" jest prawdą przedmiotową, dostępną przedewszystkiem dla teoretyków, wówczas kiedy „niedorzeczności" p. S. — podmiotowym wybuchem namiętności i rozdrażnienia. A teraz przypatrzmy się drugiej wytkniętej sprzeczności. Wzięta została z początków *zeszłego* roku i to do tego z *Złudzeń demokratycznych*. Nareszcie! Artykuły te obudziły swego czasu dość silne zainteresowanie, o czem sądzić mogę z listów, które otrzymałem. Słyszałem, że zwracano się też do *Głosu* z zapytaniem o zdanie redakcyi. I nie dziw. Wypowiedziane przeze mnie poglądy, jeśli są słuszne, uderzałyby w najbardziej podstawowe założenia *Głosu*. Sądzę, że pismo to mniej niż kiedykolwiek nie powinno było kryć milczeniem tej sprawy. Jednocześnie z ukazaniem się pierwszego artykułu pisało ono nawet w najstalszej swojej rubryce: „może się mylę, może poczęte z doktryny a zniesione w redakcyi *Prawdy* jaje będzie czemś w rodzaju jajka Kolumba" (*Głos*, 1889, str. 75). A jednakże — jednakże minął rok cały czasu i dopiero w dniu 8 marca 1890 p. S. znalazł, że *Złudzenia demokratyczne* są „arcydziełem sprzeczności..." Jajo, tak łatwe do rozbicia, leżało zatem całe, pominięte milczeniem, mimo zainteresowania się dość licznych czytelników, aż wreszcie teraz dopiero p. S. wywlókł na widok publiczny jedną wiązankę jako dowód, że „umiem wypowiadać wprost sprzeczne poglądy omal że z numeru na numer"! Wprawdzie przeszłoroczne numery *Prawdy* jak wyraża się p. S., tylko „wpadły mu do rąk," tj. trafiły przypadkowo, bez szukania z jego strony. Mocno w to wierzę, bo przy bliższem rozejrzeniu się, nieprzypadkowem, przebaczyłby mojej sprzeczności. Przypatrzmy się jej. „Wyludnienie wsi, wobec zwiększenia się produkcyi rolnej, oznaczać może tylko jedno — bankructwo dawnych metod produkowania; *w Anglii drobna posiadłość wiejska, wskutek współzawodnictwa Ameryki stała się niemożliwą*." Stwierdzam fakt z bieżącej doby, przypuszczając, że rozwój wciąż będzie szedł przy pewnych warunkach, tj. przy nieograniczonem gospodarstwie wymiennem; o ile idzie o obecną chwilę, znane mi fakty stwierdzają upadek drobnej uprawy. Przy końcu *Złudzeń* odzywam się: „*Może prędzej nastąpić, że pod naciskiem współzawodnictwa z Ameryką wielka własność ziemska rozpadnie się na drobne fermy* i stosunki rolne przyjmą obrót właściwy najmniej rozwiniętym prowincyom międzynarodowego obszaru wymiennego (tj. powrócą do gospodarki naturalnej — prz. późniejszy). *Anglia dostarcza najlepszego dowodu*. Renta miejscami spadła o 50—75%, mnóstwo gruntów nie znajduje dzierżawców. I oto wśród landlordów zjawia się „humanitarna" miłość ku ludowi i gotowość zagłosowania taniego kredytu państwowego — dla wykupu gruntów pustkujących." W pierwszym ustępie stałem na stanowisku, że w życiu istnieją pewne szczególne warunki (nieograniczona a wyuzdana konkurencya rynkowa wraz z wymianą towarową), doprowadzające do bankructwa rolnictwo angielskie, zwłaszcza drobne. Z tego stanowiska własność drobna jest niemożliwa. Lecz teraz stańmy na gruncie dynamicznym. Wielcy posiadacze rolni poczynają kupować ziemie w Ameryce i tam uprawiać zboże. Radziby zbyć swoje pustkowia angielskie komuś — lecz komu? Ustęp drugi odpowiada na to. Powołany do życia chłop, jeśli się uda ten szwindel społeczny, będzie naturalnie klepał nędzę, żył w ciemnocie, bankrutował, lecz coś to obchodzi landlorda! Naturalnie, do tego dojść może, jeśli nie znajdą się odpowiednie siły społeczne do przeciwdziałania sobkostwu klasowemu i oparcia ustroju na innych zasadach... Własność drobna ukaże się nie dlatego, aby była możliwa ekonomicznie, lecz ponieważ landlordyzm nie znalazł innego dla siebie wyjścia i użył publicznych pieniędzy na podreperowanie swojej kasy. Zresztą wspominam, że Europa wtedy może przyjąć wygląd mało rozwiniętych krajów wymiennego terytoryum, tj. doznać uwstecznienia, jak to stało się np. z Hanzą lub Włochami średniowiecznemi. Byłaby to przegrana dla cywilizacyi. Ameryka poszłaby dalej, Europa cofnęłaby się w odległą przeszłość techniczną *).

Oto i wszystkie wytknięte sprzeczności! W obu razach nie mogę — choć, jak dowiodłem, umiem — przyznać się do zarzucanego grzechu. W gruncie rzeczy wszakże sądzę, że prawdopodobnie nie jestem wolny od sprzeczności i błędów. Jedne sprzeczności, a raczej usterki drugorzędne, nie zasadnicze, muszą wynikać z publicystycznego trybu pisania, inne — wprost z tego, że w tej lub innej sprawie, pod natłokiem nowych faktów, muszę zmieniać moje poglądy. Był czas, kiedy w wielu sprawach posiadałem np. przekonania nieco pokrewne p. S. (*Przegl. tyg.* 1883, 1884). Jeżeli zatem p. S. pragnie wyszukiwać sprzeczności, może czynić to z lepszym od niniejszego skutkiem. Ponieważ jednak wolno mi mniemać, że wystąpienie *Głosu* nie jest przypadkowem, jak świadczy sam tytuł *Bieżącego rachunku*, oraz zapewnienie, że pismo to wróci jeszcze nieraz do danej kwestyi; ponieważ pomiędzy *Głosem* a mną, mimo pozornego pokrewieństwa przekonań, istnieje głęboka różnica, chciałbym starcie nasze skierować w inne łożysko. Musiało ono z konieczności nastąpić; należy tylko żałować, że wzięło początek w strzelaninie z drobnych sprostowań i w ukrytych zaczepkach. *Bieżący rachunek* wkroczył już na nieco szerszą drogę, chociaż i w nim mniej chodzi o zbicie zasadniczych poglądów, ile o wykazanie, że jestem stekiem sprzeczności i istotą odartą z humanitarnych uczuć. Pożądanem jest wszakże, aby polemika potoczyła się inaczej, bez owych szturchańców, jak w odpartej krytyce. Przytaczanie chociażby istotnych i już nieurojonych sprzeczności, kopanie się w moich uczuciach, posuwanie się do insynuacyj (cała część o włościanach), wszystko to nie rozstrzyga zasadniczych różnic. Być może, postępowanie takie będzie czasami dowcipne i pieprzne, lecz jest bez korzyści dla kół szerszych i jedynie posłuży za wyładowanie osobistych namiętności i osobistych żalów. Przypuśćmy, że pójdę dotychczas drogą *Głosu*. Biorę wstępny artykuł z nr. 9, gdzie mowa o stosunkach niemieckich; biorę zaś dlatego, że wymierzono w nim, zdaje się, kilka ukrytych pocisków. Z łatwością mógłbym dowieść, że jeśli przedstawione tam stosunki mają odpowiadać rzeczywistości niemieckiej, to chyba prócz Niemiec znanych muszą istnieć na globie ziemskim jeszcze jakieś Niemcy bliżej mi nie znane *). Lecz czyż tego rodzaju zaczepki z mojej strony dałyby cokolwiek pożywniejszego? Być może kształciłyby jedynie w czytelnikach smak ku pieprznym osobistym ujadaniom się. Kiedyś jeden z współredaktorów *Głosu*, którego nieobecność w Warszawie jest istotną i niepowetowaną dla tego pisma stratą, wyraził w rozmowie z powodu *Złudzeń demokratycznych* życzenie, abym ja w *Prawdzie*, on — w *Głosie* rozwijali wzajemnie swoje poglądy, w sposób wolny od polowań na drobiazgi i wyścigów w pieprzności stylu. Naturalnie życzenie to musiałoby pozostać życzeniem, gdyż nie mam prawa nadużywać łamów *Prawdy*. Otóż propozycyę podobną podnoszę. Napisałem *Złudzenia demokratyczne*, gdzie wy-

*) *Die ländliche Arbeiterfrage* w *Internat. Bibl.*, str. 120. Zresztą o tych faktach pisałem w *Głosie* w końcu 1888 r.

*) Stosunki te przedstawiłem poniekąd w *Kwestyi społecznej w Anglii* (*Głos*, 1888), napisanej przeciw p. Zakrzewskiemu. Artykuł ten, gdyby sądzić z dzisiejszego stanowiska *Głosu*, jest rażącą sprzecznością w tem piśmie.

*) Weźmy fakty z rozwoju społecznego demokracyi. Na początku walka zażarta pomiędzy lassalistami a „doktrynerami" w rodzaju Liebknechta, która doszła do tego, że pierwsi przy powtórnych wyborach głosowali za kandydatem rządowym przeciw kandydatowi drugich, drudzy zaś musieli szukać oparcia w pismach wolnomyślno-mieszczańskich. Zgoda, lecz powierzchowna, gdyż obie grupy ścierają się i dzisiaj. Partya np. wypiera się poglądów Bebla i oświadcza, że to są jego indywidualne zapatrywania. Przet 3—5 laty (daty nie pamiętam) z powodu sławnej kwestyi subwencyowania parostatków, prawie że nie przyszło do rozerwania, skandal jednakże był znaczny, bo część głosowała wbrew woli drugiej. Walka z „kliką," do której zaliczono „doktrynerów": Engelsa i Kautskiego, działaczy: Bebla i in. Paszkwile przeciw niej Schramma. Sądy i walka wewnętrzna, pozwalająca mniemać, że może nastać rozdwojenie. Proszę te gołe przedstawienie porównać z obrazem w *Głosie*. Jakaż różnica! Nie mówię już o innych nieścisłościach artykułu.

powiedziałem jasno wiele moich założeń. Rozbiór ich jest pożądany. Niech *Głos* to uczyni; prosiłbym go wtedy o możliwość przedmiotowej odpowiedzi w jego szpaltach (co zrobię zresztą w tym razie, gdy *Głos* porzuci swój zwyczaj walczenia „jajami,“ „doktrynami i psychologicznemi zaciekaniami co do moich uczuć, gdyż nie chcę być wtedy baranem, milczącym mimo że obdzierają go ze skóry, jak to czynił p. Zakrzewski). Dam początek takiej przedmiotowej i bezosobistej polemice w przyszłych numerach *Prawdy*. Mianowicie *Głos* w ostatnich czasach wspomina często z przekąsem o „nauce,“ wyszydza „doktrynę,“ stawia ideał pracy w zakresie jednego pokolenia, słowem, wkraczałby na drogę oportunizmu demokratycznego. Sprawa owej „nauki,“ „doktryny,“ widnokręgów jednopokoleniowych jest zagadnieniem wielkiej wagi. Rozpatrywałem dotychczas w moich pracach, jak świadomość społeczna zjawia się w następstwie warunków materyalnych; samo zaś społeczeństwo rozwijało się żywiołowo. Obecnie, gdym wypowiedział już *A*, wypowiem *B* i postaram się wykazać, jak świadomość ludzka, wytworzona tak materyalnie, pozwala działać celowo na społeczeństwo i jak tegoczesna socyologia umożliwia pracę obliczoną zgóry na wiele pokoleń. Być może, jest to najbardziej podstawowa kwestya. *Głos* otrzyma możliwość obalenia zasadniczych moich zapatrywań. Może zbędzie tę pracę wyszukiwaniem „sprzeczności“ i wiwisekcyą nad czyjąś duszą — wolna jego wola...

K. R. Żywicki.

KRONIKA.

O. Bujwid.

Na dochód Osad rolnych rozpoczął odczyty dr. Bujwid wykładem o szczepieniach ochronnych, wprowadziwszy przytem słuchaczów w świeżo odkryty a tak ciekawy świat bakteryj, których on jest u nas najgruntowniejszym badaczem i niezmordowanym popularyzatorem dokonywanych w tej dziedzinie odkryć. Jednocześnie wydał dr. B. *Rys zasad bakteryologii* w zastosowaniu do hygieny (część I, ogólna, z tablicami cena rs. 1 k. 50). Książka ta przeznaczona jest już nietylko dla lekarzy, ale dla szerokiego ogółu. Wątpimy zaś, czy jest dziś człowiek ukształcony, któryby nie pragnął rozejrzeć się w tym nowym świecie zjawisk i przyczyn, nie może zaś mieć lepszego u nas przewodnika nad Bujwida.

Exhumacya kokot.

Od jednego z ludzi poważnych odbieramy list następujący:

„Kilkakrotnie zwracaliście uwagę naszych dzienników a głównie *Kuryerów* na niestosowność karmienia czytelników szumowiną z obcego a zwłaszcza z francuskiego życia zcedzaną. Uwagę tę podzielałem zawsze, a obecnie chcę ją przypomnieć jaskrawym przykładem. W *Kuryerze codz.* znajduję artykuł „Z dziejów teatru francuskiego“ a w nim szereg notatek o aktorkach z przed stu laty, które tem szczególnie zasłużyły na naszą pamięć, że... Posłuchajcie.

Panna Contat „darowała naprzód swoje serce (tak!) niejakiemu p. Lubsac“ (który ją okradł), „pochłonęła majątek markiza de Maupeon,“ nakoniec „została przyjaciółką hr. d'Artois,“ a także „żywiła uczucia przyjacielskie dla intendenta widowisk królewskich.“

Panna Rancourt „słynęła z cnoty bajecznej,“ ale wreszcie „stała się uznaną przyjaciółką markiza de Bièvre,“ który ją nazywał Amarantą (*a ma rente*). Z więzienia podczas rewolucyi wydobyła się... wypróbowanym sposobem.

Pani Dugazon opuściwszy męża, „szukała pociechy w romansach.“

Trzy bohaterki i trzy kokoty. I czemu popularne pismo polskie otwiera po stu latach trumny francuskie na to tylko, żeby z nich wydobyć kilka szychów rozpusty? Zaiste dziwny gust i jeszcze dziwniejsze wyobrażenie o umysłowych potrzebach czytelników.“

Szkoły. Opracowane przez komisye specyalne plany przedmiotów gimnazyalnych złożono komisyi ogólnej, pozostającej pod prezydencyą wice-ministra oświaty, ks. Wołkońskiego. *Nowosti* donoszą, że prace komisyi ogólnej zbliżają się ku końcowi i że nowe plany wykładów gimnazyalnych złożone będą Radzie państwa w końcu b. m. Wprowadzenie nowych programów nastąpi z początkiem przyszłego roku szkolnego.

— Minister oświaty, wskutek przedstawienia kuratora warszawskiego okręgu naukowego, pozwolił do czasu zreformowania tutejszej szkoły felczerskiej wymagać, jak dawniej, od wstępujących w charakterze uczniów, złożenia świadectwa ze znajomości kursu dwuklasowej szkoły miejskiej. Kandydaci zewnętrzni, odrazu przystępujący do egzaminu na stopień felczera, powinni składać świadectwo z ukończenia progimnazyum.

— Utworzono komisyę w celu doprowadzenia do skutku projektu uczynienia z wielkich szpitalów wojskowych instytucyj kształcąco-naukowych dla doskonalenia lekarzy w różnych specyalnych gałęziach ich zawodu. Nastąpi to w Kazaniu, Kijowie, Odesie i Warszawie. Ponieważ jednorazowe przekształcenie wymagałoby olbrzymich sum, więc powoli już teraz główny zarząd wojenno-medyczny nadsyła do szpitalów instrumenty i wszelkie przedmioty, potrzebne do badań bakteryologicznych i innych.

— Opracowywany jest projekt rozszerzenia programu nauki religii i wogóle podniesienia poziomu religijno-moralnego uczniów w średnich zakładach świeckich.

— Wydano pozwolenie na otwarcie w Lublinie 1 kl. szkoły męzkiej i w Otwocku 1 kl. początkowej szkoły ogólnej.

— Zgodnie z przedstawieniem rady uniwersytetu warszawskiego, ministeryum oświaty zatwierdziło nowe przepisy, dotyczące składu osobistego i obowiązków tak zwanej komisyi redakcyjnej, istniejącej przy radzie uniwersytetu.

— W guberniach południowych i południowo-zachodnich będą otwierane w r. b. niższe szkoły rolnicze.

— Towarzystwo fachowego kształcenia kobiet postanowiło utworzyć kursy dla przygotowywania nauczycielek i instruktorek.

Wiadomości społeczne. Na rozszerzenie zakładu sierot przy Towarzystwie dobroczynności ks. Michał Radziwiłł zebrał 1,000 rs.

— W Warszawie powstało biuro eksploatacyi wynalazków i wyrabiania patentów.

— Zmarły w Petersburgu adwokat Chodorowski zapisał na rzecz niezamożnych uczniów gimnazyum lubelskiego wyznania katolickiego 10,000 rs. oraz połowę funduszu ze sprzedaży po nim ruchomości. Obecnie egzekutor testamentu, p. Włodzimierz Spasowicz, nadesłał lubelskiemu Towarzystwu dobroczynności cały zapis 18,500 rs.

— Członkowie gminy ewangelickiej w Warszawie urządzają raut na rzecz ubogich swoich współwyznawców.

— Towarzystwo opieki nad biednemi matkami urządza, jak w roku zeszłym, „wentę“ (bazar).

— W Krakowie zaaresztowano na dworcu kilkunastu włościan, emigrujących do Ameryki bez paszportów i dostatecznych funduszów.

Wiadomości administracyjne. Wkrótce ma być powtórnie rozpatrywany przez Radę państwa projekt ograniczenia wieku, do jakiego niektórzy urzędnicy sądowi będą mogli pozostawać w służbie rządowej.

— Projekt zmiany ustawy kościoła ewangelicko-luterańskiego w prowincyach Nadbaltyckich został już opracowany. Zjazdy i narady pastorów i działalność kuratoryj kościelnych podlegają kontroli ministeryum spraw wewnętrznych. Ministrowi służy prawo oddalania pastorów na proste przedstawienie departamentu spraw duchownych.

Sprawy kolejowe. Ministeryum komunikacyi zgodziło się, aby kolej Iwangrodzko-Dąbrowska wypożyczała szyny i przedmioty do ich umocowania tym posiadaczom fabryk i kopalń, którzy zechcą zakłady swoje połączyć z tą drogą odnogami kolejowemi.

— Przy ministeryum komunikacyi utworzona będzie stała instytucya dyrektorów rządowych przy Towarzystwach kolejowych.

— *St. Pst. Wied.* dowiadują się, iż komitet ministrów zatwierdził przedstawienie ministrów wojny i skarbu co do wykupu kolei Warszawsko-Terespolskiej dla przyłączenia jej do kolei Poleskich. Podobno do tychże dróg przyłączone będą: Siedlecko-Małkińska i Brzesko-Chełmska, eksploatowane obecnie przez kolej Terespolską.

— W maju odbędą się powtórne studya nad projektownną linią ze stacyi kolei Poleskich, Baranowicze, do stacyi kol. Nadwiślańskiej Mława. Przez zbudowanie tej linii drogi Poleskie połączone zostaną bezpośrednio z morzem Baltyckiem.

— Na mocy ogłoszonego postanowienia, w ministeryum komunikacyi utworzoną będzie techniczna inspekcya do nadzoru nad prawidłowem wykonaniem wszelkich przynależności kolejowych. Stanowić je będą inspektor główny i dziesięciu pomocników.

— Stowarzyszenie spożywcze urzędników kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej miało czystego zysku za rok zeszły 2,570 rs., z których przypada: na tantyemę dla zarządu 10%, na kapitał zakładowy 10%, na tantyemę od wkładów 15% i na dywidendę dla stowarzyszonych od zakupionych towarów 65%.

— W tych dniach rozpoczęte będą roboty około budowy kolei od Żmerynki do Mohylowa nad Dniestrem. Na wiosnę ukończone będą pozostałe rozgałęzienia od Słobody do Nowosielic i od Oknicy do Mohylowa.

— Zarząd kolei Wiedeńskiej wyznaczył 40,000 rs. na budowę i urządzenie nowego dworca na stacyi Myszków.

— Na kolei Warszawsko-Petersburskiej postanowiono odbyć próby oświetlenia wagonów elektrycznością.

— Od 13 stycznia do końca grudnia r. z. na kolejach Południowo-Zachodnich przewieziono 5,161,252 pudów węgla kamiennego z kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej i 355,954 pudów z kolei Wiedeńskiej.

— Zniżka w wynagrodzeniu nadkonduktorów kolei Nadwiślańskiej za przejechaną przestrzeń (o 1 rs. na 1,000 wiorst) ma być cofniętą z przywróceniem dawniejszej normy 6 rs.

— Komisya specyalna, zajmująca się ułożeniem słownika wyrazów i wyrażeń technicznych kolejowych, ukończyła czynności. Słownik składa się z niespełna 5,000 wyrazów.

— Przy ministeryum komunikacyi utworzono komisyę, mającą się zająć rewizyą ustawy ruskich kolei żelaznych.

Przemysł. Nowe Towarzystwo kapitalistów belgijsko-francuskich, nabywszy w Myszkowie pokłady rudy żelaznej stawia na wiosnę dwa wielkie piece i walcownię.

— W więzieniu kieleckiem będzie wprowadzony wyrób koronek papierowych, używanych do ciast w cukierniach, a dotąd sprowadzanych przeważnie z za granicy.

— Ministeryum skarbu opracowało projekt normalnej ustawy Towarzystwa właścicieli gorzelni: za doświadczenia oraz próby ulepszeń, czynione przez gorzelników uzdolnionych w gorzelniach stowarzyszonych, w razie strat odpowiada stowarzyszenie. Ma się to przyczynić do udoskonalenia wytwórczości, tudzież wyrabiania się biegłych gorzelników.

— Utworzone w Petersburgu Towarzystwo francusko-ruskie eksploatowania bogactw państwa, zamierza rozpocząć wydobywanie granitu w pow. elizawetgradzkim, w majątku obywatela Starzyńskiego.

Konkurs. *Gazeta rolnicza* ogłasza konkurs z nagrodą 1,000 rs. na napisanie w języku polskim dzieła o uprawie chemicznej i mechanicznej roli, z uwzględnieniem miejscowych warunków agronomicznych. Termin nadsyłania prac: 1 stycznia 1892 r. Praca nagrodzona staje się własnością redakcyi.

Literatura. W Berlinie, po zwinięciu dawniejszej *Prawdy*, zaczął wychodzić dwutygodnik *Gazeta polska*, pod redakcyą p. Kazimierza Wojciechowskiego.

— Najnowsza powieść Maupassanta p. t. „La vie errante,“ ukazała się w handlu księgarskim.

— Po spadkobiercach Dziewulskiego czasopismo *Wszechświat* nabył prof. Antoni Slósarski.

Bibliografia. M. Rodoć, *Satyry*, III, Warszawa, str. 99, Gebethner i Wolff.

— A. J. Sęk, *Nowele*, serya druga, Warszawa, str. 235. S. Lewenthal.

Zmarli. Herman Eisler, długoletni współredaktor wiedeńskiej *Presse*.

— Dr. Paweł Niemyer, lekarz i autor wielu prac hygienicznych, w Berlinie.

— Aloizy Reisacher, malarz-batalista, uczeń Kaulbacha i Corneliusa, w Insbrucku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 2 Марта 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**